



W. Ochotnikow

Historia pewnego wybuchu



NASZA KSIĘGARNIA WARSZAWA

1955



Przełożyła z języka rosyjskiego

WANDA DĄBROWSKA

Tytuł oryginału:

„Istorija odnogo wzrywa“

Ilustrował Józef Młynarski

Okładkę projektował Zbigniew Rychlicki

Redaktor Olga Nowakowska

Państwowe Wydawnictwo Literatury Dziecięcej „Nasza Księgarnia”

Warszawa 1955. Wyd. I

Nakład 30 000 4- 176 egz. Ark. wyd. 5,9. Ark. druk. 7 Papier druk. mat. kl. V, 70 g, 61 X 86
cm/16 Oddano do składania 15. III. 55. r. Podp. do druku 30. VI. 55 r.

Druk ukończono w lipcu 1955 r.

Stalinogrodzka Drukarnia Dziełowa, Stalinogród, 3 Maja 12 Nr zam. 329/18. IV. 55 r.

R-6-9094

Cena zł 4,70



HISTORIA PEWNEGO WYBUCHU

– Opowiedzieć wam pewne zdarzenie? To był zupełnie niezwykły wypadek – zaproponował kiedyś porucznik Woronow.

W tym okresie pracownicy instytutu naukowo-badawczego byli jeszcze skoszarowani. Wieczorem, przed spaniem, zbierali się często w małym, zacisznym pokoiku, żeby pogadać o tym i owym.

– Prosimy, opowiadajcie!

– Ano, słuchamy! – powiedziałem. – Tylko niech to będzie coś wesołego.

Długi jak tyka porucznik sięgnął do kieszeni po papie-

rośnicę i zaczął swoje opowiadanie mniej więcej w ten sposób:

– Może ktoś z was zna teren instytutu naukowo-badawczego, do którego byłem odkomenderowany na początku wojny...

Trudno sobie wyobrazić, jak ponuro wyglądało tam po ewakuacji. Pustka. Wszystko zaśmiecone i rozgrzebane. Robiło to wrażenie zniszczonego gniazda.

Urządzenia instytutu już wysłano. Ludzie też wyjechali. Na razie zostaliśmy we dwóch z mechanikiem Pietią Jankiem. Był to „równy“ chłopak, doskonały kolega.

Niewiele pozostało do zrobienia. Pakowaliśmy różne drobiazgi, łąziliśmy po opustoszałych budynkach, żeby sprawdzić, czy nie zostało jeszcze coś, co by warto zabrać, i czekaliśmy na samolot, który miał po nas przylecieć. W ogóle mieliśmy dużo wolnego czasu.

Pietia wymyślił sobie wtedy pewną, że tak powiem, rozrywkę. Właściwie wszystko wynikło z powodu tej rozrywki...

Pozostał jeszcze nie zapakowany magnetofon*. Tyle razy mówiłem: „Pietia, zapakuj aparat do skrzyni. Lada chwila może nadlecieć samolot i będę musiał przez ciebie zatrzymać się, aby go pakować". Ale on protestował, zaklinał się, że zdąży z pakowaniem, i wciąż robił swoje.

Co właściwie robił? Bardzo prostą rzecz. Gdy tylko sły-szał sygnał alarmu lotniczego, zaraz wyciągał mikrofon na podwórze albo wysuwał go przez okno. No, a co się wtedy działo w atmosferze? Samoloty huczą, działa zenitowe

strzelają, bomby wyją i wybuchają, często nawet bardzo blisko nas. A on siedzi przy aparacie i utrwała te wszystkie dźwięki na płycie.

Stale się tym bawił.

„Chcę — powiada — zostawić potomności dźwiękową pamiątkę tych dni”.

Ogólnie biorąc była to, naturalnie, rzecz ciekawa! Ale doprawdy miałem już tego dość. Nalotów nieprzyjacielskich było bardzo dużo i niemal po każdym z nich Pietia pokazywał mi płytę — taki elastyczny dysk.

„O tutaj — mówi — utrwaliłem wspaniałe dźwiękowy obraz, towarzyszu Woronow. Kto nie był w tym czasie w Leningradzie, będzie mógł to sobie w całości odtworzyć. Chcecie posłuchać?”

No, a ja zwykle wpadam w złość i znowu przypominam mu, żeby natychmiast zapakował aparat.

Szczególnie irytował mnie, kiedy wieczorem przegrywał całą kolekcję płyt na elektrycznym gramofonie z dużym, bardzo silnym głośnikiem. Dźwięki brzmiały tak donośnie, że siedząc w pokoju odnosiło się wrażenie prawdziwego bombardowania.

Mieszkaliśmy wtedy na parterze gmachu B. Jest to stary budynek z nie kończącymi się, wąskimi korytarzami, w których można po prostu zabłądzić.

Otóż cała ta historia rozegrała się w moich oczach właśnie tam...

♦ Magnetofon — aparat do zapisywania dźwięków na płytach gramofonowych.

Opowiadanie porucznika o zdarzeniu na terenie znanego instytutu naukowo-badawczego zainteresowało nas, chociaż na razie nie było w nim nic nadzwyczajnego.

Próbowaliśmy wyobrazić sobie blokadę Leningradu, opustoszały gmach instytutu, położony na peryferiach miasta, i całą sytuację, o której mówił Woronow.

Widząc, że słuchamy uważnie, porucznik rozgadał się na dobre.

– Kiedyś podczas alarmu lotniczego, w biały dzień – ciągnął – byłem właśnie w gmachu B na pierwszym piętrze i wyglądałem przez okno. Alarm, muszę przyznać, wydał mi się jakiś niepoważny. Co prawda słychać było w górze charakterystyczne buczenie niemieckiego samolotu. Być może, był on bardzo wysoko, zupełnie niewidoczny z powodu mgły. Działka zenitowe milczą. Bomb nie ma. W ogóle nie nalot, tylko jakieś kpiny...

Nagle słyszę z daleka głośny, ale bardzo dziwny wybuch. Nie wiem nawet, czy można to nazwać wybuchem.

Nasłuchałem się podczas wojny rozmaitych wybuchów. Znam je dobrze i zawsze odróżniam jeden od drugiego. A tu coś zupełnie niezwykłego: nieustanne grzmoty z wyciem i bardzo ostrym gwizdem. Jednocześnie słyszę, że gdzieś w naszym budynku zabrzęczały odłamki szkła.

Muszę przyznać, że to ostatnie szczególnie mnie zaniepokoiło. „Co znowu? – myślę. – Bomby burzące padały całkiem blisko i ani jedna szyba się nie stłukła. A tu – daleki wybuch i nagle szyby lecą...”

Właśnie miałem pójść obejrzeć szkody, gdy w moim polu widzenia ukazało się coś nowego.

Wyobraźcie sobie: niemiecki samolot na pełnej szybkości koziółkuje w dół. Spada całkiem blisko od nas. Widzę doskonale, że to bombowiec, „junkers 88“. I staje się jasne, dlaczego musiał spaść. Z jednego skrzydła zostało już tylko wspomnienie, dokładniej mówiąc, został z niego niewielki kawałek.

„Tak – myślę – oberwali ci skrzydełko. Ano, dobrze ci tak...“

Odsunąłem się trochę od okna na wypadek, gdyby przy uderzeniu o ziemię wybuchnął ładunek bomb. Ale nie, słyszę, że samolot spadł cicho. Wyjrzałem znów przez okno. Widzę, że leży sobie kochaneczek na polu. Ludziska się zlecieli, jak zwykle w takich wypadkach.

„Tutaj – myślę – wszystko odbywa się normalnie. Trzeba raczej przejść się po gmachu i zobaczyć, gdzie okna wyleciały

Chodzę po pokojach i widzę, że okna są wszędzie szczelnie zamknięte i szyby w porządku. Mógłbym długo tak szukać, gdybym tnie zwrócił uwagi na leżące na podłodze potłuczone matowe klosze, które osłaniały żarówki u sufitu. Przypomniałem sobie, że niedawno były zupełnie całe. „W jaki sposób tak nagle się potłukły? “ – myślę. W dodatku, wyobraźcie sobie, nic nie wskazuje na to, aby klosze potłukły się spadając na podłogę. Tu i ówdzie przy oprawie metalowej sterczą jeszcze resztki na dowód, że klosze popękały

wisząc pod sufitem.

Nie znam się, co prawda, tak dalece na subtelnych zjawiskach fizycznych, ale w każdym razie muszę wam powiedzieć, że oczywista wydała mi się jedna rzecz: klosze nie powinny były popękać od wybuchu, skoro szyby w oknach ocalały. Przecież właśnie szyby stykają się bezpośrednio z powietrzem i stanowią dla niego przeszkodę, jeżeli okna są zamknięte.

„Zadziwiająca rzecz! – myślę. – Po prostu nie do wiary“. Jeszcze raz sprawdziłem: szyby całe.

Doliczyłem się siedmiu stłuczonych kloszy w różnych pokojach. Przy tym – dziwna rzecz – popękały tylko klosze określonego kształtu: płaskie, z zaokrąglonymi brzegami. A inne, na przykład kule szklane, wiszą obok jakby nigdy nic.

Postałem trochę, pomyślałem i doszedłem do wniosku, że to wszystko jest dosyć zabawne, ale nie ma oczywiście wielkiego znaczenia. Trąciłem butem skorupy, a potem powoli zszedłem na dół.

Wchodzę do pokoju, w którym mieszkaliśmy. Otwieram drzwi ... wychodzi na moje spotkanie Pietia. Naturalnie z nową płytą gramofonową!

„Tutaj” - mówi – uwieczniłem całkiem osobliwy wybuch“.

„A niechże cię! – odpowiadam. – Słyszałem go. Nawet parę kloszy pękło od tego wybuchu. Ale jak niemiecki samolot spadał, tego z pewnością nie widziałeś. To był widok! Gdybyś się nie zajmował swoim idiotycznym utrwalaniem

dźwięków, to może byłbyś także świadkiem...”

Jednym słowem, zaczęła się zwykła nasza sprzeczka.

Wieczór spędziliśmy, jak zawsze, w naszym pokoju. Oświetlenie mieliśmy dość prymitywne – samochodowy reflektor z na wpół rozładowanym akumulatorem. Trudno coś robić przy takim świetle. Toteż kładliśmy się wcześniej spać.

Ale tego wieczora, jak na złość, zupełnie mi się spać nie chciało. Aż mnie zazdrość brała, gdy słyszałem, jak Pietia chrapie.

Pozostało tylko słuchać, jak stuka „serce miasta”, czyli – inaczej mówiąc – metronom*, którego głos rozlegał się ze wszystkich głośników w przerwach między audycjami.

Ach, to leningradzkie serce! Jak ono mi utkwilo w pamięci! Można powiedzieć, że na całe życie. I któż go nie pamięta spośród ludzi, którzy byli wtedy w Leningradzie!

Normalnie, gdy nie było alarmu, metronom stukał wolno. Ale gdy ogłaszano alarm lotniczy, od razu zaczynał stukać prędeż, jakby uprzedzał: „Uważaj!”

W dodatku cały ten smętny obraz uzupełniało wycie wiatru. Działo się to, jak wiecie, późną jesienią.

Nagle wydało mi się, że na górze ktoś chodzi.

„Co to znaczy? – zastanawiam się. – W budynku nie ma warty. Wszystkie drzwi zamknięte. Któż w takim razie mógł się tu dostać?”

Nasłuchuję... Znowu podejrzany szmer.

„Eh – myślę sobie – coś w tym jest. Trzeba zobaczyć”.

Wstaję. Biorę rewolwer. Podchodzę do drzwi na palcach, machając rękami dla utrzymania równowagi.

Idę przez kompletnie ciemny korytarz. Tylko z rzadka, gdy księżyc wygląda zza chmur, ukazują się na podłodze, na wprost okien, jasne, kwadratowe plamy.

Potknąłem się o jakąś Skrzynię. Rozległ się piekielny hałas. Wiecie, jak to bywa w pustych pomieszczeniach. Musiałem się zatrzymać. Znow nasłuchuję... Nic nie słyszę prócz własnego sapania, które – odbite wielokrotnie od ścian – wydaje mi się niezwykle głośne.

Po chwili coś w dali brzęknęło.

Orientując się według dochodzącego mnie odgłosu kroków, stopniowo docieram do pierwszego piętra. Przyczaiwszy się ostrożnie w zakątku korytarza, widzę postać, która na sekundę pojawiła się w blasku księżyca. Jakieś szczupłe i przygarbione indywiduum w czarnym palcie i rogowych okularach na nosie. Nie zdążyłem przyjrzeć mu się dokładnie w przelotnym błysku księżyca.

Widzę: wszedł do jednego pokoju i krząta się tam.

Rozumiecie doskonale, że mnie to bardzo zaciekało. Kto to jest? Czego tu szuka?

Po jakimś czasie wychodzi.

Teraz stało się dla mnie oczywiste, że coś ściągnął. Widzę, że niesie ostrożnie w rękach jakiś biały przedmiot, którego nie miał poprzednio.

„No – myślę – to ci się nie uda!...”

** Metronom – przyrząd odmierzający uderzeniami równe odstępy czasu.*

„Obywatelu! Stać!“ – krzyczę donośnie i puszczam się w pogoń.

On ucieka. Ja za nim.

Pogoń, trzeba wam wiedzieć, była całkiem osobliwa. Hałas spowodowany tupotem naszych nóg był nieprawdopodobny... Ciemno, choć oko wykol, tylko od czasu do czasu miga coś czarnego pod oknami. On ucieka po schodach na dół, ja – za nim. Odległość między nami zmniejsza się stopniowo. Teraz już jestem stosunkowo blisko niego.

W tej chwili wypadamy obaj na miejsce oświetlane światłem księżyca. I nareszcie udaje mi się rozpoznać przedmiot, który on trzyma w ręku. Zdziwiłem się niesłychanie. No, jak myślicie, co to było?



Porucznik spojrział na nas pytająco i zapalił nowego papierosa.

Nikt mu nie odpowiedział. Wszyscy ciekawie spoglądali na narratora tonącego w obłokach tytoniowego dymu. Nie doczekawszy się odpowiedzi, porucznik mówił dalej:

– „Zadziwiająca sprawa – myślę. – Po co mu to? Dlaczego tego nie rzucił? Przecież mu bardzo niewygodnie uciekać z czymś takim“.

Niestety, niedługo rozmyślałem: na zakręcie pośliznąłem się i upadłem.

Wstaję. Wściekłość mnie ogarnia. Trzeba było strzelać, czy co? Bodaj go licho!...

Tymczasem trzasnęły drzwi wejściowe. To znaczy, że uciekający wybiegł na zewnątrz. Ja oczywiście za nim. Tylko... co tu myśleć o pogoni! Dokoła gęsty park. Księżyc zupełnie schował się za chmury. Jednym słowem, złodziej zwiął!

Postałem trochę, nasłuchując. Nic nie słychać oprócz szumu drzew i tykania metronomu... Pozostało tylko zakłąć i zamknąć drzwi za pomocą podpórki ze znalezionej na miejscu deski.

Ale ja wam nie powiedziałem, co wyniósł ten typ...

Wyobraźcie sobie... parę kawałków szkła z tych rozbitych kloszy!

„Co to znaczy? – myślę. – Po co mu one?“

Słuchacze spojrzeli po sobie z uśmiechem.

– Tak... – ciągnął porucznik. – Budzimy się rano i



idziemy obaj z Pietią na wizję lokalną, że tak powiem. Wchodzimy na pierwsze piętro.

„A może on cały klosz ukradł?” – mówi Pietia oglądając skorupy rozrzucone po podłodze.

Muszę przyznać, że właśnie wtedy po raz pierwszy zauważyłem, jak niesłychanie poważny stał się mój Pietia. Stoi, ogląda te skorupy ze skupionym wyrazem twarzy.

„Wyciąga wnioski – myślę. – Na wzór Sherlocka Holmesa. Rzeczywiście, ciekawa rzecz. Ja sam lubię takie zagadki... Niech tam sobie pomyśli!”

Ale Pieti jakoś szybko sprzykrzyło się grzebanie w śmieciach. Podeszliśmy do okna, z którego widać było rozbity wczoraj samolot.

„Wiesz co – mówi nieoczekiwanie Pietia. – Chciałbym z bliska obejrzeć zestrzelonego »junkersa«. Może pójdziesz ze mną?”

„Po co? – odpowiadam. – Na co mi to? Idź zresztą, jeśli chcesz...”

Pietia odchodzi, zostaję sam. W dalszym ciągu wyglądam przez okno. Stoję i nie widzę nic szczególnego. Upłynęło parę chwil. Według moich obliczeń Pietia powinien był już dojść do samolotu. Przyglądam się... i własnym oczom nie wierzę. Nie ma najmniejszej wątpliwości. Koło samolotu kręci się ten sam osobnik, za którym uganiałem się dzisiejszej nocy. Poznaję go po figurze, po ruchach. Drepce dookoła samolotu, jakby czegoś szukał.

Widzę, jak odwrócony bokiem do mnie majstruje coś koło piór sterowych... Co tu robić?

Dalsze zachowanie się tego indywiduum było już całkiem podejrzane. Czy zauważył zbliżającego się Pietię, czy może z innych powodów, dość że przebiegł od ogona do silnika i z

powrotem.

Nie skombinowałem w pierwszej chwili, co on tam robi. Okazało się, rozumiecie, że łotr mierzył samolot taśmą. Pośpiesznie przeciągał ją wzdłuż kadłuba.

Dziwna historia!

A Pietia ukazał się wreszcie w polu widzenia i podchodzi do samolotu.

„A to pech! Jak go uprzedzić? “ – myślę.

Łatwo zrozumiecie mój niepokój; pamiętacie przecież, że dywersantów i szpiegów nasyłano nam w owych czasach w dostatecznej ilości.

Biec z pomocą Pieti, czy co?

Ale oto widzę, że Pietia podszedł już zupełnie blisko do samolotu. Zatrzymał się. Obserwuje manipulacje tego typu. A on, zobaczywszy Pietię, także się zatrzymał. Chwilę patrzy na siebie. Potem...

W sąsiednim pokoju gwałtownie zadzwonił telefon. Porucznik przeprosił i pospieszył do aparatu.

– No i co dalej? – zapytał niecierpliwie jeden z obecnych, kiedy porucznik wrócił.

Opowiadający powoli usiadł i flegmatycznie ogarnął wzrokiem słuchaczy.

– Na razie nie stało się nic strasznego – ciągnął bez pośpiechu. – Tamto indywiduum niespodzianie i bardzo szybko oddaliło się. A Pietia jeszcze trochę pochodził koło samolotu i wrócił do instytutu.

„Czy wiesz, kto to był? – pytam go. — Przecież to właśnie

ten sam człowiek, którego goniłem dzisiejszej nocy!"

„Nie może być!" – odpowiada Pietia.

Widzę, że moje słowa zrobiły na nim wielkie wrażenie.

„Czemu patrzysz na mnie z takim zdumieniem?" – pytam.

„Bo wiesz, to wszystko jest takie dziwne... Wydaje mi się nawet, że..."

Widzę, że Pietia jąka się i czegoś nie dopowiada.

„Znowu wyciąga wnioski" – myślę.

„Zauważyłeś co?" – pytam.

Milczy, wyobraźcie sobie, i ponuro patrzy na mnie.

„A niech cię diabli wezmą! – myślę. – Też mi detektyw!"

Tego wieczora, kiedy się ściemniło, ale jeszcze za wcześnie było na zapalenie lampy, Pietia nagle z poważną miną zwrócił się do mnie.

„Czy nie sądzisz – zapytał – że pomiędzy katastrofą faszystowskiego samolotu i uszkodzeniem naszych kloszy istnieje jakiś związek?"

„Bardzo możliwe – odpowiadam – że klosze popękały od wybuchu, który nastąpił w samolocie".

„O to właśnie chodzi – ciągnie Pietia – że w samolocie żadnego wybuchu nie było. Stwierdziłem to dokładnie. Cały zapas bomb był widocznie wcześniej zużyty albo może lotnik wcale ich nie miał. A i działa przeciwlotnicze wtedy nie strzelały, pamiętasz?"

„No, a w takim razie co spowodowało katastrofę?" – pytam. – Naszych samolotów nie było w powietrzu, doskonale odróżniam je słuchem, tylko ten jeden niemiecki latał".

„Wiem – mówi Pietia – że nie było naszych. Dużo o tym myślałem i, zważywszy wszystko, jestem głęboko przekonany...”

Spojrzał na mnie uważnie i ciągnął dalej:

„W tym tkwi jakaś tajemnica... Wszystko to się wiąże: i ten niezwykły wybuch, któryśmy słyszeli, kiedy klosze popękały, i katastrofa niemieckiego samolotu, i pojawienie się człowieka, który poszukuje bodaj Skorup tych kloszy”.

Ta rozmowa wywarła na mnie przygnębiające wrażenie.

Stoję i myślę: „Cóż on za niedorzeczne historie tu opowiada!” Ale i sam zaczynam odczuwać jakiś niepokój.

Porucznik zamyślił się, jakby coś wspominając.

– Otoczenie stwarza nastrój! – mówił dalej, zapalając zgasłego papierosa. – Wyobraźcie sobie. Zostaliśmy we dwóch w olbrzymim, opuszczonym gmachu. Dokoła ciemności. Wiatr na dworze wciąż wyje... Wydaje mi się, że na górze znów ktoś chodzi. No, oczywiście, niczego się nie boję, ale bezwzględnie podlegam wpływom otoczenia jak każdy żywy człowiek. Pamiętam, że wtedy poczułem się nieswojo. Ale nie na długo. „Trzeba – myślę – przerwać ten nastrój”.

„Wiesz co? – mówię do Pieti. – Po co mi zawracasz głowę? Nie ma w tym żadnej tajemnicy. Wszystko to bzdura. Jeżeli ktoś nawet ukradł skorupy, trzeba to uznać za objaw zwykłego chuligaństwa”.

W ogóle zacząłem mu wymyślać.

Skończyło się na tym, że Pietia obraził się i przestał ze

mną rozmawiać.

Ale wyobraźcie sobie, znowu zdarzył się podejrzany wypadek. Zwłaszcza jeżeli wziąć pod uwagę to, co zaszło poprzednio. Więc to było tak.

Nastawia Pietia swój elektryczny gramofon — pewno z nudów — i zakłada kolejno całą serię płyt z owymi wybuchami. Szczególnie sobie upodobał ostatnią i kręci ją, można powiedzieć, bez końca.

Obrzydło mi to już gruntownie. Ale żeby nie doprowadzić do ostatecznej kłótni z Pietią, znoszę to jakoś i udaję, że mnie to nic nie obchodzi.

Za chwilę przyszło mi do głowy wyjrzeć przez okno, zobaczyć, jaka pogoda, czy należy spodziewać się nalotu. W tym celu uchyliłem trochę zasłony i ostrożnie patrzę przez szparkę, tak by światła z pokoju nie widać było na zewnątrz.

Ku wielkiemu memu zdziwieniu widzę, że pod oknem sterczą jakieś trzy sylwetki. Nasłuchuję. Przyglądam się im i — wyobraźcie sobie — wśród podsłuchujących poznaję znowu tego samego osobnika. A co najważniejsze, widać interesuje się bardziej niż pozostali tym, co się dzieje w naszym pokoju, bo najbliżej przysunął twarz do okna.

„Ehe, kochaneczku! — myślę. — Toś ty znów tu!“

Wyciągam z kieszeni latarkę elektryczną i puszczam na niego smugę światła.

I oto na czarnym tle nocy widzę tę samą, znajomą twarz, która wtedy, w chwili zdenerwowania, wydała mi się straszna, przeraziła mnie niesamowicie wyszczerzonymi zębami.

Patrzy na mnie wprost nieruchomym spojrzeniem przez wielkie, rogowe okulary. Wszystko to naturalnie trwało sekundę. Twarz od razu znikła.

Wyskakujemy z Pietia na dwór. Starannie szukamy dookoła — bezskutecznie. I — co prawda — nie ma w tym nic dziwnego. W takim parku, jak nasz, każdy może się schować z łatwością nawet w dzień.

Tej nocy wcale nie spaliśmy. Wezwałem kilku ludzi ze straży i rozstawiłem ich w ukryciu przy kilku wejściach do gmachu. Sam czatowałem w korytarzu, wyglądając od czasu do czasu przez okno. Ale wszystko na próżno. Nikt się nie zjawił i nic szczególnego nie zaszło tej nocy.

Po paru dniach zauważyłem, że z Pietią dzieje się coś dziwnego.

Chodzi ponury jak noc. Przepada, wałęsa się gdzieś godzinami, a czasem nawet nie nocuje w domu. Widać, że ma jakieś zmartwienie.

„Ciągłe bawi się w detektywa — myślę. — Dziwak!“

Ale swoje obowiązki spełnia sumiennie. Nie ma się o co do niego przyczepić.

Budzę się kiedyś w nocy z niewiadomego powodu. Nasłuchuję... Alarmu, zdaje się, nie ma — metronom stuka wolno. Ale w ostatnich czasach nabrałem zwyczaju przysłuchiwania się w nocy różnym szmerom. I słyszę: z daleka dochodzą znajome dźwięki. Domyślam się, że to ktoś przegrywa płytę gramofonową. Nawet słyszeć chwilami zgrzyt igły — widocznie stara.

Ale co to za płyta? „Czyżby – myślę – ktoś inny oprócz Pieti zapisywał odgłosy bombardowania?” Słucham. Dźwięki zupełnie jak u Pieti. Skończyła się jedna płyta. Puścili drugą – też bombardowanie. Wiatr przynosi dźwięki nierówno; to ciszej, to głośniej. Zaczynam budzić Pietię.

„Posłuchaj – mówię – jaką muzykę nadają”.

Ale, jak na złość, wszystko ucichło.

„Nic szczególnego nie słyszę” – powiada Pietia.

„Utrwalone dźwięki – mówię – płyta zupełnie podobna do twoich. Przed chwilą słyszałem ją z daleka”.

Pietia podniósł się, przetarł oczy i mówi przerażonym głosem:

„Nie może być! Skąd taka jak moje? Przywidziało ci się!”

Siedzieliśmy obaj przez jakiś czas w oczekiwaniu, ale nic więcej nie usłyszeliśmy.

Rano, nie pamiętam już, przy jakiej okazji, zauważyłem, że nie ma na zwykłym miejscu walizki, w której Pietia przechowywał swoje płyty. To mnie zastanowiło, zacząłem szukać i przekonałem się, że jej nigdzie nie ma!

„Gdzież się mogła podziać?” – pytam Pieti.

„Bo ja wiem? Dziwna rzecz” – powiada.

Muszę przyznać, że zacząłem coraz bardziej się niepokoić.

Pietia wyszedł, zostałem sam.

Po raz pierwszy poważnie rozpatrzyłem te wszystkie zdarzenia. W gruncie rzeczy skłonny byłem zgodzić się z Pietią, że w tym tkwi istotnie jakaś tajemnica. Ogarnął mnie

niepokój. W dodatku pogoda paskudna, jesienna. Mgła, że na dziesięć kroków nic nie widać.

Chodzę sobie po korytarzu – właściwie bez celu. Wszystko wydaje mi się teraz podejrzane. Nawet echo własnych moich kroków, odbite od ścian korytarza, brzmi jakoś nienaturalnie.

„Co to wszystko znaczy? – zastanawiam się. – Komu były potrzebne idiotyczne płyty Pieti i komu przyszło do głowy w nocy je puszczać? Co to za kawały?”

Chodzę więc, zatrzymuję się, często nasłuchuję, przyglądam się różnym przedmiotom. Jednym słowem, nerwy mam nie w porządku.

A wieczorem znów, wyobraźcie sobie, wpadłem w nastrój bojowy.

„Muszę to rozgryźć! – myślę. – Muszę to wyjaśnić, choćbym miał wstrzymać odlot z tego powodu. A może to rzeczywiście jakaś dywersja? Tylko że teraz nie wypada zwracać się o pomoc. Mogą mnie wyśmiać. Trzeba zebrać poważniejszy materiał. A najlepiej – złapać tego zgarbionego w okularach. Po co on się wciąż tutaj kręci? Od razu bym się dowiedział, o co chodzi...”

Wychodzę do parku.

Z obojętną miną, jak na spacerze, łązę, obserwuję ostrożnie stojące dokoła budynki.

A dokoła – gdzie spojrzeć – wielkie gmachy należące do różnych instytucji, rozmaite laboratoria, warsztaty i nawet małe fabryczki.

W niektórych budynkach praca wre. U nas, w Lenin-gradzie, podczas blokady trzeba było wykorzystać każdą możliwość produkcji broni i wszystkich niezbędnych rzeczy dla frontu. Ale było też dużo opuszczonych budynków, których urządzenia zostały ewakuowane. Robiły one wrażenie martwych.

Długo tak chodziłem przypatrując się uważnie wszystkiemu.

Zapadał mrok.

Wkrótce zawyły syreny alarmowe. Metronom zmienił rytm i zaczął szybko stukać.

Już zwątpiłem o celowości moich obserwacji i zamierzałem wrócić do domu, kiedy nagle zauważyłem w głębi parku trzech ludzi szybko idących aleją.

„Pewno idą do schronu” – pomyślałem.

Na wszelki wypadek skierowałem się ku nim na przełaj przez zarośla.

Trzeba powiedzieć, że tym razem udało mi się. Zanim zdążyłem podejść bliżej, zorientowałem się, że wśród tych trzech ludzi jest właśnie poszukiwany przeze mnie szczupły, przygarbiony osobnik.

Odległość między nami wciąż się zmniejsza...

Ten sam! Idzie w środku! Co robić? „Śledzić!” – decyduję. Nic innego nie pozostaje, tylko iść za nimi.

Ostrożnie, chowając się za drzewami i krzakami, idę nie spuszczając ich z oczu ani na sekundę.

Przekłete krzaki przeszkadzają! Uderzają mnie wciąż po

twarzy.

Dokąd oni idą? Teraz przechodzą koło gmachu Instytutu Chemii Przemysłowej. Dalej jest Instytut Fizyki Doświadczalnej. Jeszcze dalej – jakieś pracownie, na wpół rozwalone podczas bombardowania.

Skręcili w podwórze, ja – za nimi.

Wszyscy trzej podchodzą do drzwi małego, parterowego budynku i znikają w środku.

Zaczynam badać budynek. Obchodzę go dokoła, zachowując przyzwoitą odległość, żeby mnie nie zauważyli.

Widzę, że w jednym z okien, po przeciwnej stronie od wejścia, ukazało się światło. Przebija przez jakąś szparę w zasłonie.

Naturalnie podchodzę. Wspaniale się składa. Przez tę szparę, przy pewnej zręczności, można doskonale obserwować wewnątrz.

Stoję, tamując oddech, i wydaje mi się, że bicie mojego serca brzmi głośniejsz niż uderzenia metronomu z najbliższego ulicznego głośnika.

Na dworze zupełnie się ściemniło. Wiatr się wzmógł. Drzewa szumią ponuro, jakby im było żal rozstawać się z pożółkłymi liśćmi. A ja przywarłem nosem do szyby i stoję jak skamieniały.

Okazuje się, że moje najgorsze obawy sprawdzają się.

Doskonale widzę wszystkich trzech – wśród nich owego przygarbionego człowieka w okularach. Pokój wygląda jak pracownia czy też laboratorium; stoi kilka obrabiarek, do-

koła pełno aparatów, szczególnie dużo elektrycznych przyrządów pomiarowych. Ale przede wszystkim rzuciły mi się w oczy dobrze znane ładunki trotylu, różnej wielkości, rozrzucone dokoła. Trotyl jest silnym materiałem wybuchowym, nie ma z nim żartów.

„Aha – myślę – teraz rozumiem...”

Nie miałem już najmniejszej wątpliwości, że to prawdziwa grupa dywersyjna.

Początkowo nie przypisywałem znaczenia jakiemuś, stojącemu na środku pokoju aparatowi, zaopatrzonemu w wielkie tuby, podobne do gramofonowych, ale wykonane z bardzo grubej blachy. Od tej maszyny rozchodziły się różnego rodzaju przewody, grubsze i cieńsze, a sam aparat miał mnóstwo najrozmaitszych uchwytów, błyszczących gałek i innych przyrządów.

Ale potem widzę, że wszyscy trzej krzątają się głównie koło tego właśnie „gramofonu”. Ładunki trotylu też skupiają na sobie ich uwagę, bo wygląda, jakby je sortowali czy coś tam z nimi robili; w każdym razie przenoszą je z miejsca na miejsce.

„Wszystko się wyjaśniło – myślę. – Można skończyć obserwację i biec jak najprędzej po pomoc”.

Ale w tym momencie zainteresowało mnie zachowanie dywersantów. Ktoś widocznie zastukał do drzwi, bo nagle wszyscy nadstawili uszu...

I właśnie wtedy zdarzyła się rzecz najbardziej niepojęta w tej całej historii.

Patrzę, wchodzi do ich pokoju...

Narrator zatrzymał się i obrzucił nas wzrokiem. Półmrok panujący w pokoju nie pozwalał dobrze uchwycić wyrazu jego twarzy, ale wydało mi się, że był on niezwykle poważny.

– To było zbyt niespodziewane... – ciągnął po chwili. – Wyobraźcie sobie, że zobaczyłem swojego Pietię! Zdębiałem zupełnie. Co o tym sądzić? Jak to rozumieć? Jakże się to mogło zdarzyć, że Pietia coś przede mną ukrywał?

Postanowiłem zostać i obserwować dalej.

Widzę, że Pietia czuje się tam jak w domu. Zaczyna też coś majstrować. Naturalnie, moja zdolność logicznego rozumowania stopniowo zanika. Jak ocenić postępowanie Pieti?

Nie wiem, jak długo stałem pod oknem w zupełnej niepewności. Nawet teraz trudno mi określić, ile czasu wtedy upłynęło.

Ale zauważyłem, że Pietia jest wyraźnie niezadowolony. Zaczyna dyskutować z tym garbatym; czegoś mu dowodzi. Widzę, że posprzeczali się na dobre, Pietia rzuca na podłogę klucz nakrętkowy i demonstracyjnie zaczyna wycierać ręce jakąś szmatą. Wszyscy go obstąpili i widocznie chcą załagodzić spór. Ostatecznie Pietia zwrócił się ku drzwiom z wyraźnym zamiarem opuszczenia pokoju.

„Ciekawe – myślę – o co się pokłócili?”

Zdecydowałem, że lepiej będzie wrócić do domu, zanim Pietia przyjdzie, i pogadać z nim tak, jakbym o niczym nie

wiedział.

Tak też zrobiłem.

Przykre zadanie, muszę przyznać, spadło na moje barki. Zdążyć do domu przed powrotem Pieti – to rzecz prosta. Ale jak ja z nim będę rozmawiał?

Słyszę – idzie. Otwiera drzwi, wchodzi...

„No i co słyhać?” – pytam starając się nadać temu pytaniu odcień wyjątkowej obojętności.

„Jako tako” – powiada.

Patrzę na niego i myślę. Czy to Pietia? Czy to ten sam Pietia, poczciwy, przez wszystkich lubiany, szczerzy chłopak?

Ciężko mi było patrzeć na niego.

A on sobie chodzi po pokoju, bardzo zdenerwowany, i – wyobraźcie sobie – nawet nie zwraca na mnie uwagi.

„Powiedz – pytam go spokojnie – czy nigdzie nie spotkałeś tego człowieka w okularach, który był wtedy koło samolotu?”

Pietia spojrział na mnie uważnie, zamyślił się i nagle mówi:

„Tego człowieka znam bardzo dobrze. Przecież to jest kandydat nauk fizyczno-matematycznych Michaił Stiepanowicz Bogucki”.

Takiej odpowiedzi, co prawda, wcale się nie spodziewałem. Nastąpiło niezręczne milczenie.

„Bardzo dobrze, że o nim wspomniałeś – ciągnie Pietia. – Muszę z tobą o nim porozmawiać. Sprawa jest poważna i nie cierpiąca zwłoki”.

„No to zaczynaj “ – powiadam.

Mam się na baczności i czekam, co też powie Pietia.

Widzę, że to sprawa rzeczywiście poważna.

Ale, abyście mogli zrozumieć to wszystko, muszę was zaznajomić z niektórymi podstawowymi wiadomościami z zakresu fizyki.

Co prawda nie jestem profesorem i do instytutu odkomenderowano mnie dopiero na początku wojny, ale przecież mam niejakie pojęcie o tych rzeczach z naukowego punktu widzenia...

Porucznik niedbale założył nogę na nogę i przybrał swobodną pozę. Słuchacze zrozumieli, że narrator stoi przed trudnym dla niego zadaniem i stara się to pokryć nadmierną nonszalancją.

– Postaram się wyjaśnić wam to wszystko w najbardziej popularny sposób, unikając jakichś, że tak powiem, zawiłych formuł matematycznych.

Wiecie, co wydaje każdy twardy przedmiot, jeżeli weń, na przykład, czymś stuknąć? Dźwięk. A co to znaczy? To znaczy, że przedmiot od uderzenia kurczy się leciutko albo – być może – zgina się. Początkowo, naturalnie, w jedną stronę, a potem, na skutek sprężystości – w drugą. No i zaczyna się w ten sposób przez jakiś czas wahać, czyli – inaczej mówiąc – drgać.

Te drgania przedmiotu udzielają się do pewnego stopnia otaczającemu go powietrzu, co z kolei wywołuje drganie bębenków w naszych uszach.

Odczuwamy te drgania powietrza w postaci dźwięku.

Jeżeli, na przykład, mówimy albo krzyczymy, to w tym momencie w naszym gardle drga struna głosowa, dzięki czemu powstają dźwięki dostępne dla naszego ucha. Gdyby ta struna nie drgała, to nie moglibyśmy mówić ani śpiewać.

Na skutek dźwięku, jak pewno zauważyliście, drgają naturalnie nie tylko bębny w uchu ludzkim, ale także różne przedmioty, wprawdzie nieznacznie i w sposób nieuchwytny dla oka.

Muszę tu przy okazji zwrócić waszą uwagę na jedno szczególnie ciekawe zjawisko. Oto, na czym ono polega.

Wszystkie przedmioty odpowiadają mniejszym lub większym drganiem na dźwięk jakiegokolwiek wysokości, ale najsilniej drgają – wyobraźcie sobie – właśnie te, które wydają przy uderzeniu podobny dźwięk.

Wychodzi na to, że każdy przedmiot jest jak gdyby nastrojony na odpowiedni dźwięk, i to właśnie na ten, który sam może wydawać.

To zjawisko nazywa się w fizyce rezonansem...

Porucznik z tryumfem spojrział na słuchaczy, jakby szcycąc się wywołanym efektem. Wielu z nas, wyraźnie zainteresowanych opowiadaniem, przestało nawet się uśmiechać.

– Po co daleko szukać przykładu? – podjął opowiadanie. – Wystarczy wziąć choćby dwie zwykłe gitary i nastroić obie jednakowo. Jeżeli ktoś trąci strunę jednej gitary, to usłyszymy, że struna, nastrojona na ten sam ton w drugiej

gitarze, odezwie się. A pozostałe struny, wyobraźcie sobie, zachowają zupełny spokój.

Skąd to się bierze? – pytam was. Bardzo proste!

Weźmy deskę, solidnie umocowaną jednym końcem w kłocu, a na drugim jej końcu posadźmy kogoś i powiedzmy mu, że będziemy go huścić. I rzeczywiście podejźmy i leciutko popchniemy go w dół. Co się stanie? Delikwent zacznie się kołysać: w dół, do góry, w dół, do góry... Jeżeli będziemy go popychać leciutko, stosując się przy tym do wahań deski, i wpadniemy, jak to się mówi, w rytm kołysania, to możemy go tak rozhuścić, że deska się złamie przy nasadzie. Jeżeli zaś będziemy pchać deskę mocno, ale nierytmicznie, nic takiego się nie wydarzy.

Tak samo ze struną. Jeżeli drgania powietrza zaczynają uderzać w nią w rytmie jej własnych okresów, jak mówią fizycy, to rozhuściła się ona z łatwością. Ale jakaś inna częstotliwość drgań mało ją obchodzi.

Struny, oczywiście, nie można porównywać z jakimiś zwykłymi przedmiotami, ze struną rzecz jest prosta – może ona drgać tylko w określonym kierunku i dlatego wydaje w zasadzie tylko jeden dostatecznie wyraźny ton. A weźmy, na przykład, rurę od samowara. Wydaje także dźwięk! Jeżeli – dajmy na to – upuścicie ją na podłogę... No, a jaki to będzie dźwięk? Jaki – pytam – ton? Tego muzycznego problemu żaden, nawet genialny kompozytor nie potrafi rozwiązać.

Chodzi o to, że rura od samowara drga nie w jednym

określonym kierunku jak struna, ale z powodu swej skomplikowanej konstrukcji jednocześnie kurczy się, zgina i w ogóle wykrzywia się w najbardziej dziwaczny sposób. Z tego powodu powstaje nie jeden ton, lecz od razu kilka, splątanych ze sobą. A więc, odwracając sytuację: żeby wywołać w rurze od samowara zjawisko rezonansu i spowodować jej drganie za pomocą dźwięku, trzeba działać na nią równie skomplikowanym dźwiękiem, złożonym z różnych tonów. Jednym słowem, do tego celu potrzeba takiego samego dźwięku, jaki wydaje rura przy upadku.

Teraz, gdy wam to tłumaczę, z pewnością wszyscy dobrze rozumiecie, ale jak ja się czułem, kiedy mi Pietia to opowiadał!

Niektórzy z obecnych odetchnęli z ulgą.

– Nie wiedziałem wtedy – ciągnął porucznik – po co on mi to wszystko tłumaczy. Nagle Pietia mówi:

„Pamiętasz pewno ten niezwykły wybuch, od którego popękały u nas klosze, i to właśnie klosze określonego kształtu, a szyby w oknach pozostały nie uszkodzone? Pamiętasz, mówiłem ci, że w tym tkwi jakaś zagadka, a ty mnie wtedy posłałeś do diabła. Rzeczywiście, zdarzenie było niezwykle. Wtedy też nic nie rozumiałem, ale teraz mogę ci to wyjaśnić. Nasze klosze pękły nie od fal powietrznych, wywołanych tym wybuchem, lecz właśnie od tego dziwnego dźwięku... I stało się to wyłącznie dlatego, że częstotliwość ich drgań zbiegła się z częstotliwością drgań tego dźwięku”.

„No, a cóż ten twój profesor Bogucki ma z tym wspólnego?” – zapytałem niecierpliwie.

„O Boguckim zaraz będzie mowa – odpowiada Pietia. – Dawno o nim słyszałem, ale nigdy go nie widziałem przed wojną. To bardzo wykształcony i zdolny człowiek, ale ma też pewne wady. Jest odludkiem. Bardzo skryty, prowadzi swoją robotę w zupełnej izolacji, stara się wszystko wykonać własnymi siłami, rzadko zwraca się o pomoc. Taki, widocznie, indywidualista... Właśnie i teraz... Ale lepiej wszystko ci po kolei opowiem.

Bogucki i niektórzy pracownicy jego laboratorium zostali na razie w Leningradzie, tak jak my. Oni też słyszeli ten silny wybuch i zwrócili uwagę na popękane w ich pokojach klosze. Bogucki zainteresował się tym, bo akustyka i elektroakustyka jest jego specjalnością. Wiedział, że w naszym gmachu B są takie same klosze, a sądząc, iż nikogo tu nie ma, przyszedł wieczorem, żeby upewnić się co do swoich przypuszczeń. Twierdzi, że drzwi wejściowe były źle zamknięte, więc z łatwością je otworzył”. -

W tym miejscu Pietia się uśmiechnął.

„W ogóle nieźle go nastraszyłeś. Bogucki, zaskoczony, pobiegł bezwiednie do wyjścia, nie zdając sobie sprawy, po co to robi. Opamiętał się dopiero w parku i doszedł do wniosku, że postąpił jak sztubak. Następnego dnia spotkałem go przy rozbitym samolocie, ale naturalnie nie wiedziałem, że to on był w naszym gmachu. A wieczorem profesor, przechodząc z kolegami koło naszych okien,

usłyszał moje płyty. To go bardzo zaciekało i zatrzymał się pod oknem. Naturalnie, zobaczywszy blask twojej latarki, wołał się oddalić, żeby nie być zmuszonym do zbytecznych wyjaśnień".

„Dziwne — powiadam — że nie uważałeś za stosowne wcześniej zawiadomić mnie o tym".

„Nie mogłem — odpowiada Pietia. — Dałem słowo. Słuchaj, co było dalej..."

A dalej było tak. Po paru dniach Bogucki spotkał się z Pietią w parku.

„Czy to prawda — zapytał profesor — że zapisujecie dźwięki bombardowania na płytach gramofonowych?"

„Prawda“ — odpowiedział Pietia.

„Bardzo bym chciał prosić was o jedną płytę, gdzie jest utrwalony wybuch w formie przeciągłego dźwięku. Zdaje się, że słyszałem taką“.

Rzecz prosta, że to Pietię bardzo zaciekało.

„Po cóż wam taka płyta?" — zapytał.

Bogucki odpowiedział coś nieokreślonego. Pieti było żal pozbywać się płyty.

„Wy tłumaczcie — mówi — po porządku, bo inaczej nie dam!"

Profesorowi nie pozostało nic innego, tylko wyznać wszystko.

„I wtedy — mówi Pietia — dowiedziałem się rzeczy zdumiewającej!"

Porucznik umilkł i zamyślił się głęboko.

— O trzy kilometry od nas — zaczął po chwili — z niestabilnych powodów wybuchł niewielki skład amunicji. Stwierdzono jedynie, że naboje wybuchały w pewnych odstępach czasu, nie jednocześnie, i dlatego odgłos robił wrażenie przeciągłego huku.

Dlaczego tak się stało, również nie udało się dotąd wyjaśnić. Być może, wpłynęło na to rozłożenie w jakiś sposób pocisków w różnych pomieszczeniach, a może były i inne przyczyny. Faktem jest, że powstał nie jeden wybuch, ale cały ich szereg o różnym charakterze i różnej sile, następujących po sobie prawie bez przerwy.

„Pamiętasz pewno — mówił mi Pietia — że słychać było jakiś przeciągły ryk i wycie. I właśnie ten jedyny w swoim rodzaju wypadek wytworzył w powietrzu niezwykle potężną falę dźwiękową, która rozeszła się na wszystkie strony.

Bogucki powiedział, że musi bardzo dokładnie zbadać charakter tego dźwięku. Myślał, że uda mu się to zrobić przez zbadanie właściwości rezonansu kloszy, ale niestety otrzymane dane były niepełne. Zdołał jedynie ustalić tą metodą charakter dźwięku, ale kolejność jego narastania i jak układały się w nim zależnie od czasu różne tony — bardzo trudno było określić. A gdyby przeanalizować naszą płytę, sprawa przedstawiałaby się inaczej”.

Pewno trudno wam uwierzyć — zwrócił się do nas porucznik — że od samego tylko dźwięku mogą się rozpaść jakiegokolwiek przedmioty. Okazuje się, że jest to zupełnie

możliwe przy określonych warunkach rezonansu i bardzo dużej sile dźwięku. Z rezonansem w ogóle nie ma żartów. Na przykład w dawnym Petersburgu – na początku tego wieku – zdarzyła się katastrofa. Wyobraźcie sobie zwykły, najzwyczajniejszy most przez Fontankę. Mnóstwo ludzi przechodziło przez most. I wszystko było w porządku. Most stał. Aż tu raz przechodzi stosunkowo niewielki oddział wojska, pluton, no i oczywiście, zgodnie z przepisami, wszyscy idą w nogę. Dziwnym zbiegiem okoliczności rytm ich marszu przypadkiem odpowiadał rezonansowi tej budowli. Most zawalił się i cały pluton znalazł się w wodzie.

Właśnie dlatego we wszystkich krajach wprowadzono zasadę, że oddziały wojskowe przechodzą przez most nie w nogę.

Co prawda, żołnierze wywołali drgania rezonansowe mostu bezpośrednio swoimi butami i w ten sposób rozhuścili go, a na klosze od lamp podziały przeciw drgania powietrza. Ale cała sprawa polega na rezonansie i sile dźwięku.

A co się dzieje z samolotami w czasie prób? Wyobraźcie sobie: budują nową maszynę, po prostu arcydzieło techniki. Szybkość nadzwyczajna i duży zasięg lotu. A przy próbie niekiedy rozlatuje się w powietrzu. O co chodzi? Zaczynają badać. Okazuje się, że wibracja silnika wywołuje rezonans w jakichś drgających częściach. Do dziś konstruktorzy samolotów walczą z tym. Nie zawsze nawet, rozumiecie, da się to

matematycznie obliczyć. To bardzo trudna sprawa. Nie można wszystkiego przewidzieć. A w dodatku silnik czasem zmienia obroty, powodując tym najróżniejsze wibracje samolotu. Jeden z moich znajomych lotników, oblatujących maszyny, miał taki wypadek. „Lecę – powiada – na nowo zbudowanej maszynie. Wszystko idzie dobrze. Samolot leci płynnie, słucha steru, wszystko w porządku. Aż wreszcie, zgodnie z programem próby, zwiększam dopływ gazu do maksimum i samolot nabiera szybkości. Nagle czuję, że powstaje silna wibracja... Dwa miesiące przeleżałem w szpitalu!” A maszynę, oczywiście, przez ten czas modyfikowali, skracali jakieś tam żebra, przedłużali ściągi oporowe – jednym słowem, dążyli do tego, aby jej części nie odpowiadały w powietrzu rezonansem na wibracje silnika.

Pietia zrozumiał, w jakim celu Bogucki chce badać dźwięk tego wybuchu. Według przypuszczeń profesora pękły nie tylko klosze od lamp...

„Długo nie mogłem zrozumieć – mówił Pietia – że jednakowa jest częstotliwość drgań małego szklanego klosza i wielkiego bombowca, »junkersa 88«, który według zapewnień Boguckiego rozpadł się w powietrzu od samego dźwięku”.

Ale profesor dokładnie to wyjaśnił. Okazuje się, że nawet bardzo różne pod względem wielkości i kształtu przedmioty mogą mieć jednakowy rezonans. Wskazał przykład dwóch strun, z których jedna jest gruba, a druga cienka, ale przy odpowiednim naciągnięciu można obie nastroić na ten sam

ton.

Trudno rzeczywiście wyobrazić sobie, że tak mocna konstrukcja jak samolot, może się rozpaść od dźwięku.

Kłosze – to inna sprawa, przecież są szklane...

Ale Bogucki upierał się przy swoim, powołując się na siłę fali dźwiękowej, i przytoczył Pieti szereg innych dowodów.

Widocznie „melodia” tego strasznego dźwięku przypadkiem podziałała w pewien określony sposób na jakieś części samolotu, powodując ich wibrację. W pewnym momencie siły zsumowały się i nastąpiła katastrofa.

„Pomóżcie nam, towarzyszu Janin, albo raczej włączcie się do naszej pracy – poprosił profesor. – Sprawa jest bardzo ważna, przecież chodzi o obronę naszej ojczyzny. Stworzymy taką broń, jakiej nie ma wróg. Zrobimy to szybko, bez rozgłosu... Pomyślcie tylko, jak nam podziękuje rząd i naród”.

Pietia stał, osłupiały z radości i zdziwienia.

„Zrobimy to, oczywiście, że zrobimy – odpowiedział Boguckiemu. – Odłożę swój wyjazd z Leningradu, jeżeli to będzie potrzebne. Będę pomagał”.

„Tylko jeden warunek – przerwał mu Bogucki. – Wszystko to musi pozostać między nami, jak sami rozumiecie. Nikt obcy nie powinien wiedzieć, nawet wasz towarzysz porucznik.

„Zacząłem protestować – dodał Pietia – ale on się uparł”.

Po tej rozmowie Pietia zaniósł profesorowi swoje płyty gramofonowe, nie powiedziawszy mi ani słowa, i zaczął z

nim pracować. Mieli pod dostatkiem przyrządów i warsztatów, tylko ludzi im brakowało.

„Doprawdy nie wiem — mówi Pietia — jakby oni sobie dali radę beze mnie”.

„No, a jak teraz stoi sprawa?” — pytam.

„Wyobraź sobie, przyrząd jest zupełnie gotowy — odpowiada Pietia. — Trzeba przyznać, że pracowaliśmy całą parą. Przecież sam słyszałeś wczoraj naszą płytę... To właśnie odbywało się regulowanie całego urządzenia.

Konstrukcja przyrządu jest bardzo prosta — mówił dalej. — Specjalny wyłącznik elektryczny w ściśle określonym czasie spowoduje włączenie elektrycznych zapalników różnych ładunków z materiałem wybuchowym, zamkniętych w komorach rezonansowych. Dzięki temu powinien powstać nie jeden wybuch, lecz szereg wybuchów, szybko po sobie następujących. Wszystko zleje się w jeden potężny dźwięk, identyczny z utrwalonym na płycie. I jeżeli tamten samolot rzeczywiście zginął od dźwięku, to i inne, tej samej konstrukcji, prawdopodobnie spotka to samo. Ale muszę ci powiedzieć...”

Pietia jakoś dziwnie spoważniał i dokończył szeptem:

„W konstrukcji przyrządu są pewne niejasności... Czy wytrzyma napięcie wyrzutnik, przeznaczony do kierowania fali dźwiękowej w górę? Czy przegrody, rozdzielające komory rezonansowe, są dostatecznie mocne? No i parę innych drobiazgów... Rozumiesz, aparat jest obliczony na odtworzenie co najmniej dwustu dźwiękowych »wystrza-

łów«. Ale ten pierwszy wystrzał bardzo mnie niepokoi. Bogucki nie chce nawet słyszeć, żeby ktoś jeszcze wziął udział w naszej pracy. W ostatnich czasach nawet mnie traktuje lekceważąco. Stale pomniejsza znaczenie mojej płyty i zapewnia, że można się było obejść bez niej i zbudować projektowany aparat jedynie na podstawie obliczeń matematycznych.

Wcale nie czuję się urażony i zgadzam się na to, że moja praca pozostanie bezimienną, byle tylko aparat rzeczywiście zaczął działać — ciągnął Pietia. — Gdybym nie był im potrzebny jako mechanik, dawno bym się z nimi rozstał. Ale, widzisz, beze mnie nie dadzą sobie rady.

Należałoby wciągnąć do pracy jeszcze paru specjalistów. Powinno się całą sprawę postawić na szerszej płaszczyźnie.

Profesor chce z tego zrobić niespodziankę. Ale to jest nie do pomyślenia. On, naturalnie, pragnie przysłużyć się ojczyźnie, i to nie byle jak. Nie należy go pozostawiać samemu sobie, bez koleżeńskieg kolektywu. Dwaj jego współpracownicy także zaczynają rozumieć, że nie można w ten sposób prowadzić tak odpowiedzialnej pracy. Właśnie na dzisiejszą noc...“

Tu Pietia umilkł w pół słowa, nasłuchując, i nagle zbladł.

„Co ci się stało? “ — pytam.

„Czy nie słyszysz? Alarm lotniczy!“

Tak się zamyśliłem, że nie zauważyłem, kiedy na dworze zawyły syreny.

„I cóż z tego? Przecież nie pierwszy raz słyszysz syreny

alarmowe !“ – powiadam.

Pietia wstaje i zaczyna chodzić po pokoju.

„A jednak pójdę tam – mówi. – Nie mogę go tak zostawić samego, beze mnie będzie mu ciężko. Na dzisiaj przewidziany jest mały eksperyment. Być może, że wszystko odbędzie się pomyślnie”.

Nie zatrzymywałem go. Poszedł. Trudno mi było wtedy zorientować się w tym wszystkim.

Rzeczywiście, sytuacja jest poważna! Trzeba jakoś wpłynąć na Boguckiego, pomóc mu.

Po krótkim namyśle postanowiłem: trzeba natychmiast iść do sztabu, złożyć raport.

Kiedy wyszedłem na dwór, bombardowanie było w całej pełni. Wysoko, wśród bezchmurnego nieba, huczały nieprzyjacielskie samoloty. Mroźna, księżycowa noc podziałała uspokajająco na moje nerwy, ale nie mogłem się pozbyć przykrego przecucia, które mnie opanowało wkrótce po odejściu Pieti.

Szybko skierowałem się do oddziału czołgów, który stacjonował w sąsiedztwie i mógł mi użyczyć samochodu. Po kilku minutach jechałem już w kierunku miasta.

Równomierny warkot silnika samochodowego, pracującego na pełnych obrotach, zagłuszały chwilami bliskie wybuchy bomb burzących. Mimo woli nasłuchiwałem, oczekując innego dźwięku.

Byliśmy w połowie drogi do sztabu, kiedy wyraźnie rozległ się za nami znajomy ryk.

Wyskoczyłem z samochodu, próbując zorientować się, gdzie znajduje się instytut.

Ryk trwał tylko parę sekund. Gdy ustał, zapanowała dokoła względna cisza. Zobaczyłem kilka płonących i spadających samolotów, ale to wszystko dziwnie słabo dochodziło do mojej świadomości. Nad wszystkim górowała obawa o los Pieti i pozostałych towarzyszy. Co się z nimi stało? Czy żyją?

Trzeba jak najprędzej wracać! Pomknęliśmy w odwrotnym kierunku, rozwijając szaloną szybkość.

Kiedy znaleźliśmy się już na terenie instytutu, dał się słyszeć sygnał odwołania alarmu i ludzie zaczęli wychodzić ze schronów.

Biegłem z ludźmi z oddziału ratowniczego przez park, w stronę laboratorium Boguckiego.

Gmach płonął. Obok niego ział olbrzymi lej, widocznie w miejscu gdzie stał aparat rezonansowy. Wkrótce zrozumiałem, że Pietia i jego towarzysze zginęli.

Następnego dnia musiałem odlecieć z Leningradu bez Pieti.

Porucznik umilkł, jakby wsłuchując się w szmer kropli deszczu, bębniących o szyby, i wszyscy odczuliśmy, jak bolesne są dla niego te wspomnienia.

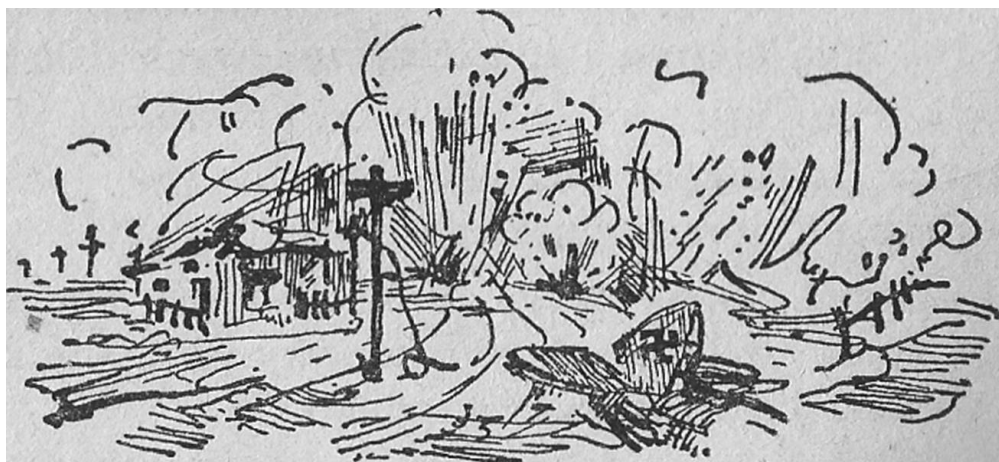
– Kiedy złożyłem raport o tym zdarzeniu – mówił – nie dowierzano mi. Co prawda, nie było żadnych poważnych dowodów. Pożar, lej koło gmachu i śmierć towarzyszy łatwo było wytłumaczyć zwykłą bombą.

Jedyne, co nie budziło najmniejszej wątpliwości, to fakt, że tej nocy na terenie miasta i jego okolic znaleziono cztery rozbite samoloty „junktors 88“. Według oświadczenia sztabu obrony powietrznej były to wszystkie „junktorsy“, które brały udział w tym niewielkim nalocie.

O dziwnym opowiadaniu porucznika Woronowa przypomniałem sobie niedawno.

W jednym z naszych instytutów naukowo-badawczych powiedziano mi, że mechanik Piotr Janin żyje i wyszedł zdrowy ze szpitala. Współpracownicy Boguckiego też uszli z życiem. Tylko o losie profesora nic nie umiano mi powiedzieć.

Janin odnalazł wśród gruzów spalonego laboratorium swoją niezwykłą płytę gramofonową i podobno pracuje nadal nad wynalazkiem.





ELEKTRYCZNE POCISKI

Każde uderzenie, równomiernie wybijające sekundy, rozlegało się donośnym echem pod sklepieniem opustoszałego, staroświeckiego gmachu. Dawniej ten zwykły stukot nikomu nie wydawał się tak głośny, ginął wśród gwaru studenckiego tłumu. I dopiero u schyłku pracowitego dnia, odbity wielokrotnie od wysokich sklepień nie kończących się korytarzy, pogłębiał ten nieuchwytny nastrój powagi, który napełniał wieczorną ciszę starego gmachu.

Teraz jedynie tykające zegary elektryczne, umieszczone niemal we wszystkich pokojach Leningradzkiego Instytutu

Politechnicznego przypominały wieczorem, w nocy i w dzień o życiu. Wszystko nosiło ślady niedawnej, pośpiesznej ewakuacji.

W jednym z pokoiów panowanie zegara nie było niepodzielne. Pokój nie był tak pusty jak pozostałe. Po dawnemu wypełniały go skomplikowane przyrządy fizyczne.

W pokoju pracowała dziewczyna.

Promienie zachodzącego słońca czerwoną plamą kładły się na jej jasnych włosach. Ale Zoja (tak się nazywała córka profesora Leontjewa) usiłowała skryć się w cieniu, nachylna nad niskim stołem laboratoryjnym. Z największą uwagą i skupieniem prowadziła obserwacje. Przed nią, na fluoryzującym, okrągłym ekranie migąły błękitne kreski, bez ustanku zmieniając swe dziwaczne kształty. Dziewczyna pracowała przy oscylografie katodowym.

Czyż można podziwiać fantastyczną grę błękitnego deseni falującego na przydymionym białym ekranie, nie zastanawiając się nad przedziwną tajemnicą procesów zachodzących w tym aparacie? Pracuje w nim burza drobniutkich nabożów elektrycznych — elektronów; wrywane wysokim potencjałem z rozżarzonej metalowej nici mkną w próżni szklanej kolby jako wąski promień, bombardując fluoryzujący, matowy ekran. Właśnie ten promień elektronowy — mający tę właściwość, że może postępować szybko za najmniejszymi zmianami położenia pola elektrycznego — przesuwał się rysuje jak ołówek malarza niebieskie kreski na błyszczącym od jego dotknięcia ekranie. Oscylograf ka-

todowy to jakby okulary z bajki dla fizyka. Ujrzał przez nie najbardziej złożone, najszybciej przebiegające procesy, o których istnieniu dowiadywano się jedynie na drodze zawiłych obliczeń matematycznych.

Zoja, wsłuchana w tykanie zegara, uważnie obserwowała okrągły ekran i w równych odstępach czasu zapisywała coś ołówkiem w zeszyte. Na jej młodej, energicznej twarzy malowało się zmęczenie.

Nagle coś obudziło czujność dziewczyny. Zastygła ze wzniesionym ku górze ołówkiem, utkwivszy wzrok w tarczy ekranu.

Ukazał się na nim niezwykły, przedziwny obraz. Rósł, powiększał się, aż wypełnił całe pole widzenia. A jednocześnie przeniknął do laboratorium, przez okna zaklejone na krzyż papierem, wysoki, ostry świst.

Dziewczyna wstała zaniepokojona, ale wciąż uważnie obserwowała przyrząd nie spuszczać z niego bacznego spojrzenia. Widziała, jak znika dziwny rysunek, a jednocześnie oddala się wysoki, przenikliwy dźwięk.

Zoja długo jeszcze nasłuchiwała. Pilnie obserwowała ekran chcąc zorientować się, co to znaczy, ale oscylograf pracował normalnie. Dziwne, niepokojące zjawisko znikło wraz z dźwiękiem i nie powtórzyło się więcej.

Trochę zdenerwowana, dziewczyna spojrzała na zegarek, żeby zanotować godzinę, i zaczęła szczegółowo zapisywać swoje obserwacje do szkolnego zeszytu.

Kiedy szary, jesienny zmrok zapadł nad olbrzymim par-

kiem Instytutu i stada czarnych kawek zakończyły swoje zwykłe wieczorne spory, do dużego mieszkalnego budynku, położonego prawie w środku parku, zbliżył się wolno wysoki czerwonoarmista w nowym płaszczu. Obejrzał się uważnie, zanim podszedł do frontowych drzwi. Dokoła pustka. A i sam gmach wydawał się zupełnie opuszczony. Kawki powitały wchodzącego głośnymi uderzeniami skrzydeł i krakaniem na różne tony.

Żołnierz zatrzymał się niepewnie przed tabliczką na drzwiach, słabo oświetloną niebieską żarówką. Na tabliczce dużymi literami było wygrawerowane: „Profesor P. N. Leontjew“. Po naciśnięciu dzwonka gdzieś w dole rozległ się głuchy brzęk, ale na klatce schodowej panowała w dalszym ciągu zupełna cisza i nikt nie przyszedł otworzyć wielkich, masywnych drzwi, obitych czarną ceratą.

Żołnierz czekał przez chwilę zamyślony, a potem wolno skierował się ku wyjściu.

Koło drzwi prowadzących do głównego gmachu panował gorączkowy ruch. Z warczących, wolno manewrujących samochodów, oświetlonych skąpymi promieniami niebieskawego światła przebijającego się przez wąskie szpary zasłoniętych reflektorów, wyładowywano szybko ciężkie skrzynie. Słyszał było skrzypienie sprężyn u drzwi, urywane słowa komendy i głuche szuranie, jak zwykle przy przenoszeniu ciężarów. Właśnie przybyła pierwsza partia urządzeń — zajmowano gmach na szpital.

Wysoki czerwonoarmista stał długo, obserwując wyła-

dunek.

Gdyby Zoja Leontjewa, która właśnie opuściła swoje laboratorium, poszła główną aleją parku, a nie wąską ścieżką, skracającą drogę do domu, to zapewne zauważyłaby tego człowieka, ukrytego za drzewem. Ale dziewczyna poszła bokiem, zupełnie pochłonięta własnymi myślami.

Szybkim i pewnym krokiem czerwonoarmista skierował się do wejścia. Przeszedł obok ludzi zajętych wyładowywaniem samochodów i znalazł się w długim, bocznym korytarzu. Posuwając się w ciemności i co chwila oświetlając latarką kieszonkową mijane drzwi, starał się odczytać cyfry na małych tabliczkach. Koło jednych drzwi zatrzymał się nasłuchując. Po chwili do hałasu, spowodowanego wyładowywaniem samochodów, dołączyły się nowe, brzęczące dźwięki, które stapały się i potęgowały w pustce korytarzy.

Żołnierz ostrożnie otwierał drzwi, dobierając klucze.

* *

*

Ostry, przeciągły dzwonek postawił Zoję na nogi. Jak wszyscy mieszkańcy Leningradu podczas wojny, sypiała w ubraniu, na wypadek alarmu.

— Ozy zastałem towarzyszkę Leontjewą? — odezwał się za drzwiami donośny głos.

Do przedpokoju wszedł porucznik.

— Pozwólcie, że się przedstawię — rzekł salutując. —

Porucznik Kowalew. Przychodzę do was w następującej sprawie: polecono mi odszukać was i rozmówić się co do ewakuacji pozostałego sprzętu z laboratorium waszego ojca. Spodziewam się, że pojedziecie razem z tym transportem?

Zoja bezwiednie opuściła ręce. Wydało jej się, że wyraz „ewakuacja” — tak naturalny i oczekiwany od kilkunastu dni — padł teraz zupełnie nie w porę.

— Widzicie — powiedziała trochę niepewnie — ja teraz właściwie nie mogę wyjechać... I pozostałych przyrządów też nie można wywozić...

— A dlaczego? — zdziwił się porucznik. — Otrzymałem polecenie. Oto dokumenty, proszę...

— W każdym razie — mówiła Zoja oglądając podane przez porucznika dokumenty — muszę pozostać jeszcze bodaj parę dni. Chodzi o to, że... Nawet trudno mi to wyjaśnić... Dziś wieczorem zauważyłam bardzo dziwne zjawisko. Muszę to zbadać. Podejrzewam, że...

Zoja zatrzymała się wpół słowa. Podejrzenia były zbyt niejasne. Po co mówić o nich z nieznanym człowiekiem?

— Jeżeli pozwolicie — powiedział porucznik — to dobrze byłoby obejrzeć sprzęt. Muszę się zorientować co do ilości i rozmiarów aparatów.

Po chwili szli oboje przez park w kierunku głównego gmachu.

— Sądzicie może, że łatwo mi przychodzi opuścić Leningrad? — mówił porucznik, jakby chcąc uspokoić towarzyszkę. — Gdybyście wiedzieli, jak trudno! Właśnie jeden

mój kolega...

Porucznik nie skończył, bo dziewczyna niespodziewanie schwyciła go za rękę.

– Patrzcie – szepnęła wskazując ciemniejącą przed nimi potężną sylwetę gmachu. – Widzicie?

– Nie, nie widzę – cicho odpowiedział Kowalew zatrzymując się.

Lekki wiatr poruszył przeredzone liście ciemnych drzew. Jesienny szum napełnił park.

– Tam, w ostatnim oknie.— mówiła Zoja.— To się pojawia, to znika światło... Teraz widzicie?

– Tak, widzę. Ale dlaczego was to przeraża?

– Ktoś chodzi po naszym laboratorium. To jest światło elektrycznej latarki... A drzwi są przecież zamknięte i ja mam klucz w kieszeni – powiedziała Zoja ciągnąc porucznika za sobą.

– Spodziewam się, że nie przechowujecie tam nic tajnego? – cicho zapytał porucznik, kiedy znaleźli się w na pół ciemnym korytarzu.

Starali się jak najciszej podejść do laboratorium. Porucznik chciał jednym gwałtownym ruchem otworzyć drzwi, ale były zamknięte na klucz.

– Klucz – szepnął Kowalew.

Ale i kluczem drzwi nie można było otworzyć.

– Nigdy się to nie zdarzało – cicho powiedziała Zoja. – Drzwi zawsze łatwo się otwierały. Może ktoś tu majstrował wytrychem i zepsuł zamek.

Wreszcie po wielu wysiłkach zamek zgrzytnął i ciężkie drzwi uchyliły się skrzypiąc.

Porucznik nie od razu wszedł do pokoju. Długo oświetlał latarką wszystkie kąty, uważnie przyglądając się dziwacznym cieniom rzucanym przez przyrządy.

W pokoju nie było nikogo.

– Widzicie? – powiedział porucznik spuszcżając zaciemniające zasłony na okna. – Niepotrzebnie denerwowaliście się. Może to w innym oknie.

Zoja chciała odpowiedzieć, że zna układ okien w tym budynku od dziecka, że nie mogła się omylić, ale nagle zasłyszany dźwięk pochłonał całą jej uwagę.

Na dworze lekko szumiał wiatr. Rozlegało się miarowe tykanie zegara wybijającego sekundy. A z daleka dochodził wysoki, narastający, przenikliwy świst.

– Co to za dźwięk? – zapytała dziewczyna podchodząc do porucznika.

– To pewno pocisk – powiedział Kowalew. – I najwidoczniej pocisk dużego kalibru. Chyba wiecie, że nieprzyjaciel od wczoraj rozpoczął ostrzał artyleryjski naszego rejonu?

– Przypuszczałam, że to pocisk. Wieczorem już słyszałam ten świst. Ale wytłumaczcie mi, co to znaczy? To nie może być zwykły artyleryjski pocisk – szybko powiedziała Zoja.

Nie czekając na odpowiedź rzuciła się, by przełożyć dźwignię wyłącznika na tablicy rozdzielczej i po kilku se-

kundach błękitne, zygzakowate linie pojawiły się na okrągłej tarczy oscylografu.

– Co zamierzacie robić? – zapytał zdziwiony porucznik.

– O jaki niezwykły pocisk wam chodzi?

– Przepraszam, chwileczkę... – powiedziała Zoja obserwując z uwagą działanie aparatu.

Ostrożnie, unikając hałasu, porucznik podszedł do dziewczyny.

– Co to znaczy? – zapytał znów, wpatrując się we fluoryzującą powierzchnię ekranu.

W tej chwili wśród szumu wiatru zabrzmiał znowu znajomy, przenikliwy świst przelatującego pocisku. Porucznik zobaczył, jak błyskotliwe, błękitne kreseczki na ekranie nagle zmieniły swą postać, dziwacznie wyginając się i rozrastając na wszystkie strony. Na chwilę ukazały się wysokie, ostre kreski, zasłoniły cały ekran, a potem obraz znikł od razu. W oddali rozległ się ciężki, głuchy wybuch.

–Towarzyszko Leontjewa – zaniepokoił się porucznik. – Musicie bezwarunkowo zejść do schronu. Jesteśmy pod ostrzałem.

Ale dziewczyna nie odpowiedziała. Wpatrywała się w ekran jak urzeczona.

– Widzieliście? – zapytała, jakby ocknąwszy się.

–Nie rozumiem, co was tak zaniepokoiło. Zdaje się, mówiliście o jakimś niezwykłym pocisku.

–Tak... tak... niezwykłe pociski. Zwyczajne pociski nie mogłyby tak podziałać na moją aparaturę oscylograficzną.

Stwierdziłszy przelot pocisków niosących potężny ładunek elektryczny. W tym tkwi jakaś tajemnica. Nieprzyjaciel zastosował nową broń — szybko mówiła podniecona Zoja.

Porucznik długo patrzył na nią zastanawiając się, czy należy poważnie ustosunkować się do tej wiadomości. Widział, że Zoja zaczęła nerwowo szukać czegoś na stole. Otwierała szuflady biurka, szukała na podłodze. Ale poszukiwania były bezowocne.

—Tu na stole zostawiłam swój zeszyt z notatkami — powiedziała wreszcie. — Teraz zeszytu nie ma. Znikł.

* *

*

Kiedy ciemnopurpurowe barwy chłodnego, jesiennego poranka ukazały się na horyzoncie i mgła okrywająca puste pola stała się przezroczystsza, z ciężarówki zeskoczył wysoki czerwonoarmista w nowym płaszczu. Długo rozglądał się dokoła i wreszcie, wybrawszy właściwy kierunek, ruszył w bok od drogi.

W oddali prawie bez przerwy ciężko huczały działa. Kanonada zlewała się chwilami w jeden przeciągły ryk, to znów ustępowała pojedynczym, bezładnie następującym po sobie grzmotom.

Czerwonoarmista zatrzymywał się od czasu do czasu i spoglądał wstecz, gdzie na tle pojaśniałego nieba majaczyły niewyraźnie zarysy dalekiego miasta, uwieńczone złotą ko-

pułą i dwiema cienkimi iglicami. To był Leningrad.

– Kto idzie? Przepustka! – rozległ się głos wartownika koło zasieków z kolczastego drutu.

Wysoki żołnierz pokazał przepustkę. Wartownik długo obracał ją w rękę, starannie oglądając ze wszystkich stron.

– Wejdźcie – powiedział wreszcie i odsunął zasuwę furtki.

Na niewielkiej przestrzeni, ogrodzonej drutem kolczastym, nic nie rzucało się w oczy. Tu i ówdzie wznosiły się niewielkie, płaskie pagórki, wskazujące na obecność ziemianek. Przybyły wszedł do jednej z nich po wąskich, drewnianych schodkach. Ostrożnie wyminął skomplikowane urządzenia elektryczne, umieszczone w tym podziemnym schronie. Zdjąwszy płaszcz usiadł przy stole i zaczął coś zaznaczać na leżącej przed nim mapie sztabowej.

Zatopieni w pracy ludzie prawie nie zwrócili uwagę na nowoprzybyłego. Tylko jeden sierżant cicho wstał z miejsca i podszedł do niego.

– No i co? Byłeś w Politechnicznym? – zapytał szeptem, schylając się do ucha żołnierza.

– Byłem – cicho odpowiedział tamten.

– Znalazłeś?

– Teraz nie pora, opowiem ci później. Trzeba zameldować komendantowi.

Drzwi otworzyły się, do ziemianki szybko wszedł podpułkownik.

– Towarzyszu Krachalew, dlaczego nie ma wiadomości z

szóstej odcinka? – zapytał zatrzymując się u wejścia.

Mały, nieco zgarbiony kapitan, który zerwał się z miejsca na widok komendanta, podszedł do niego i zameldował:

– Pozwólcie zameldować, towarzyszu podpułkowniku. Sprawozdanie podlega dodatkowemu opracowaniu. Dzisiejszej nocy o godzinie drugiej minut trzydzieści osiem zarejestrowano nową grupę pocisków.

– Proszę przyjść do mnie za dwadzieścia minut ze wszystkimi materiałami – powiedział basem podpułkownik i zniknął za drzwiami.

Krichalew podszedł do jednego z aparatów i usiadł na taborecie. Ciszę ziemianki przerywało tylko równomierne brzęczenie przyrządów.

Kapitan wpatrywał się uważnie w poziomy ekran nad aparatem, oświetlony maleńką elektryczną lampką. Bez przerwy sunęła po nim szeroka, papierowa taśma, przewijająca się z jednego bębna na drugi. Kilka cienkich, atramentowych linii, które przyrząd kreślił automatycznie, powoli ukazywało się na taśmie.

– Towarzyszu kapitanie, pozwólcie zameldować...

Krichalew odwrócił się i zobaczył przed sobą niedawno przybyłego czerwonoarmistę.

– Proszę, meldujcie!

– Szeregowiec Ozierow przybył z Leningradu, gdzie wypełnił wasze polecenie.

– A wyniki?

Ale czerwonoarmista nie zdążył odpowiedzieć. Aparat

wydał lekki, szeleszczący dźwięk. Kapitan natychmiast zwrócił się w tę stronę. Czerwonoarmista Ozierow również zamarł na miejscu, utkwivszy oczy w pełzającej taśmie. Jedna z linii atramentowych zrobiła nagły skok, za nią – inne. Po kilku sekundach cały papier pokrył się *zygzakami*, niekiedy przecinającymi się nawzajem. Potem wahania linii zaczęły się zmniejszać i po chwili z aparatu popęzła znów taśma z równymi, równoległe ułożonymi kreskami.

Krichalew spojrział na zegarek i obciął nożyczkami papierową taśmę.

– Natychmiast rozszyfrujcie, towarzyszu Ozierow – powiedział. – O wynikach podróży zameldujecie później... Znowu, zdaje się, na Leningrad –dodał głośno. – Tym razem, widocznie, bardzo dużego kalibru.

Krichalew skierował się do wyjścia, odprowadzony pełnymi obawy spojrzeniami ludzi pracujących przy aparatach.

W podziemnym pokoju nastąpiła cisza.

Tu znajdował się punkt pomiarów dźwiękowych – serce dźwiękowego wywiadu artyleryjskiego w oblężonym mieście. Stąd za pomocą dziesiątków czułych dźwiękoodbiorników, mikrofonów rozmieszczonych w polu i połączonych przewodami z aparaturą rejestrującą, prowadzono obserwacje nad dźwiękiem wydawanym przez przelatujące pociski. W ziemiance znajdowała się aparatura pozwalająca określić na podstawie dźwięku stanowisko artylerii nieprzyjacielskiej.

Na ruchomej, papierowej taśmie stopniowo ukazywały

się cienkie zygzaki — ślad przejścia pocisku nad tym lub innym mikrofonem. Pomiarы otrzymanych krzywych i wyliczenia pozwalały ustalić na mapie punkt, skąd wyrzucono nieprzyjacielski pocisk. Wywiad dźwiękowy, istniejący od dawna we wszystkich armiach, dość dokładnie wyznacza stanowiska baterii nieprzyjaciela.

Bezmyślny, barbarzyński ostrzał Leningradu zaczął się niedawno. Ludzie z punktu pomiarów dźwiękowych pracowali w poczuciu wielkiej odpowiedzialności.

Czerwonoarmista Ozierow, który przed chwilą otrzymał polecenie, schylił się nad swoim stołem badając papierową taśmę, na której było zarejestrowane przejście nowego pocisku.

Kapitan Krichalew wrócił do ziemianki. Usiadł na swoim miejscu, założył nową taśmę. Wkrótce brzęczenie jego aparatu zlało się z ogólnym, równomiernym szumem pozostałych przyrządów.

Nagle Krichalew zwrócił uwagę na zachowanie się czerwonoarmisty Ozierowa, który siedział plecami do niego. Kapitan zaczął coraz częściej spoglądać w jego stronę; z początku wydawało mu się, że Ozierow zanadto ogląda się na wszystkie strony i, co za tym idzie, opóźnia wykonanie pilnego zlecenia. Potem zauważył, że czerwonoarmista wyciągnął z kieszeni uczniowski zeszyt i zaczął go uważnie studiować.

Wszystko to niezmiernie zastanowiło kapitana. Do tej pory czerwonoarmista Ozierow, były student Leningradz-

kiego Instytutu Politechnicznego, prowadzący obliczenia na punkcie pomiarów dźwiękowych, był wzorem obowiązkowości i dyscypliny. Przed paroma dniami prosił o przepustkę do Leningradu, aby z laboratorium Instytutu Politechnicznego, gdzie pracował poprzednio, wypożyczyć przyrządy pomiarowe, których brak odczuwano dotkliwie na punkcie. A teraz wróciwszy z delegacji, zachowuje się bardzo dziwnie.

Ale to, co nastąpiło później, ostatecznie oszołomiło kapitana.

Cicho i monotonnie brzęczały silniczki aparatów pomiarowych. Z rzadka dochodził do ziemianki przygłuszony odgłos kanonady artyleryjskiej.

Nagle rozległ się głośny trzask gwałtownie odsuniętego i przewróconego taboretu.

Kapitan zobaczył, że czerwonoarmista Ozierow zerwał się i patrząc szeroko otwartymi oczami na trzymany w ręku uczniowski zeszyt, skierował się ku wyjściu.

* *

*

Wzdłuż chodnika jednej z głównych ulic Leningradu prawie biegła Zoja Leontjewa, aspirant Leningradzkiego Instytutu Politechnicznego. Przechodnie zatrzymywali się i oglądali za nią ze zdziwieniem. Zastanawiał ich szczegół, którego dziewczyna zupełnie nie zauważyła. Za nią biegł —

wyraźnie a nieudolnie ją śledząc – niski kapral w szarym żołnierskim płaszczu.

Ulica oblężonego miasta wyglądała ponuro. Trzeba sobie wyobrazić szare, jesienne niebo, drobne kropie wilgoci, niemal stale wiszące w powietrzu, i mokre, błyszczące, granitowe fundamenty domów. W różnych, nieraz najbardziej nieoczekiwanych miejscach odbywało się regulowanie silników samolotowych. Niepokojąco rozlegał się ich warkot, chwilami głośny, to znów zwolna milknący. Ludzie przemykali się wzdłuż ulic pośpiesznie i ponuro. Twarze przechodniów były skupione. A nad tym wszystkim panował równomierny, głuchy stuk metronomu, rozlegający się ze wszystkich głośników.

Powolny i uroczysty jest rytm tych uderzeń. Rozbrzmiewa nad miastem, jakby kierując tempem jego życia. Mieszkańcy Leningradu przywykli do niego. Stał się nieodłącznym towarzyszem trudów całego dnia i pełnej napięcia ciszy przedłużającej się nocy. Spokojny i powolny stuk wciąż mówi o tym, że walczące miasto czuwa. Ale gdy jękliwy głos syreny, przebiegający całą gamę dźwięków, począwszy od niskich tonów aż do najwyższych, zwiastuje zbliżające się powietrzne niebezpieczeństwo – natychmiast odzywa się szybki i nerwowy stuk metronomu.

Zmienia się puls miasta. Zaczyna bić mocniej, szybciej, jak w organizmie gotującym się do walki na śmierć i życie.

Zoja zatrzymała się przed bramą wielkiego gmachu.

Jednocześnie zatrzymał się mały kapral, który śledził ją

przez cały czas. Gdy dziewczyna weszła do bramy, kapral wolno przeszedł na drugą stronę ulicy i z miną skupioną zaczął kręcić papierosa z gazety.

Ściskając w rękę przepustkę, Zoja szybko przebiegła marmurowe schody i wkrótce znalazła się w obszernym gabinecie, zastawionym miękkimi meblami, krytymi skórą.

– Proszę usiąść. Słucham – rozległ się zza stołu uprzejmy głos.

Dziewczyna zaczęła mówić szybko i energicznie, nerwowo obracając w rękę i tak już pogniecioną przepustkę.

– Mówicie – powiedział generał, uważnie wysłuchawszy relacji – że to nie mogą być zwyczajne pociski? Hm, ciekawe...

– Bezwarunkowo – z przejściem odpowiedziała dziewczyna. – Moja aparatura, przystosowana do badania napięcia elektrycznego w atmosferze, nie mogłaby reagować na zbliżanie się zwykłych pocisków. Przecież to zupełnie jasne...

– Hm... Cóż więc przypuszczacie?

– Wszystko można przypuszczać – odrzekła Zoja. – Dla mnie jedno jest oczywiste: te pociski zawierają w sobie jakieś elektryczne urządzenia. A może faszyci stosują pociski kierowane urządzeniem automatycznym lub przez radio – zakończyła nieśmiało.

Generał popatrzył na nią uważnie.

– Jakoś do tej pory nic nie wiadomo o takich pociskach – odrzekł wolno.

– Właśnie. Trzeba działać – zaniepokoiła się Zoja.

W parę minut potem generał żegnał się z nią u drzwi gabinetu.

– A więc umowa zawarta – powiedział podając jej rękę na pożegnanie. – Ale nie warto narażać się bez potrzeby na niebezpieczeństwo... Macie chyba schron?

– Mniejsza o to... Nie martwcie się... wszystkiego najlepszego – powiedziała dziewczyna z uśmiechem i znikła za drzwiami.

Zoja szybko wracała po mokrych od deszczu chodnikach.

I znowu asystował jej mały kapral, nieudolnie spełniający swoją rolę. Znalazł się w kłopotliwej sytuacji, kiedy dziewczyna wsiadła do tramwaju. Zaledwie zdążył wskoczyć do tego samego wagonu.

Przez cały czas nie spuszczał jej z oczu, a kiedy tramwaj zatrzymał się koło parku, gdzie znajdował się Instytut, starając się pozostać nie zauważonym, siedł za nią wzdłuż piaszczystych alei to przyśpieszając, to zwalniając kroku. Nagle ostry, przeraźliwy huk z niezwykłą siłą ogłuszył Zoję. Dziewczyna upadła na mokrą trawę, rękami instynktownie zasłaniając głowę. Przed oczami zawirowały koła. Poprzez natrętny, dzwoniący w uszach szum usłyszała tuż obok przeciągły krzyk.

„Co to jest? Czyżbym była ranna?” – niejasno przemknęło jej przez głowę.

Wstała z wielkim wysiłkiem. Ujrzała za sobą obłok

czarnego dymu. Z tej strony słyhać było ciężki, głuchy jęk.

– To pocisk – uświadomiła sobie.

Kiedy dym trochę opadł, zobaczyła, że obok strzaskanego drzewa leży na brzuchu człowiek niewielkiego wzrostu, w długim, podartym i pokrwawionym płaszczu.

Zoja, cała umazana krwią, z największym wysiłkiem ciągnęła uwieszzonego u jej ramienia kaprała, który ledwie poruszał nogami. Dokoła, w równych odstępach czasu, pękały pociski wydając przenikliwy, przesywający świst, niekiedy zaś przelatywały nad głowami z przerażającym wyciem. W pobliżu nie było nikogo.



Wreszcie przy samym wejściu do gmachu Instytutu opadająca z sił Zoja spotkała dwóch żołnierzy Armii Czerwonej, którzy przyszedli jej z pomocą. Ostrożnie wzięli na ręce jęczącego człowieka.

– Ciężka sprawa – powiedział ze współczuciem jeden z żołnierzy. – Nie ma go gdzie położyć. Szpital jeszcze nie urządzony. Lekarza w pobliżu nie ma. Dokąd go zanieśmy?

– Zanieście go do mnie, na górę – szybko powiedziała Zoja wskazując drogę.

Długi korytarz odbił echem ciężkie, stłumione jęki.

Przy drzwiach swojego laboratorium Zoja zatrzymała się zdziwiona. U wejścia stał wartownik patrząc z pewną podejrzliwością na jej zakrwawione palto.

– A wy do kogo, obywatelko?

– Tutaj pracuję. To moje laboratorium – odpowiedziała.

– Dokumenty.

Zoja podała mu swoją starą legitymację studencką.

– Leontjewa... W porządku... Możecie wejść – powiedział wartownik. – Ale oprócz was nikogo nie wolno tu wpuszczać.

W tej chwili żołnierze niosący ostrożnie rannego podszli do drzwi.

– Przed chwilą pocisk zranił żołnierza – zwróciła się Zoja do wartownika. – Trzeba go opatrzyć. Mam torbę sanitarną.

– Doprawdy nie wiem... Kazano tylko was. Naturalnie...

Hanny... to widać.

– Ale kto wam kazał? Kto was tu postawił? – zaniepokoiła się Zoja.

– Porucznik Kowalew wydał rozkaz – odpowiedział żołnierz. – I dał mi odpowiednią instrukcję.

Zoja zrozumiała, że dyskusja byłaby bezskuteczna. Doskonale знаła całą surowość prawa wojennego. W kącie korytarza przy oknie urządziła dla rannego posłanie na materacu przyniesionym przez żołnierzy. Walcząc ze zmęczeniem, przystąpiła do opatrunku.

Ranny uspokoił się nieco. Długo patrzył na Zoję smutnym, zgaszonym wzrokiem, oddychając ciężko i oblizując językiem zeschnięte wargi.

Szarzało. W korytarzu ukazali się dwaj sanitariusze z noszami. Szli rozmawiając i głośno stukali butami.

Zoja zauważyła, że zjawienie się sanitariuszy zaniepokoiło rannego. Czynił wyraźne wysiłki, żeby ją do siebie przywołać. Dziewczyna wstała z krzesła i nachyliła się nad posłaniem. Zaczęła wsłuchiwać się uważnie w słaby szept rannego, ale zdołała uchwycić zaledwie strzępy zdań:

– Śledzą was... Jesteście dobrym człowiekiem... Dziękuję... Bądźcie ostrożni... Pewno umrę...

Rozległ się głęboki jęk, ranny zamknął oczy i ból wykrzywił mu twarz.

Podeszli sanitariusze.

Zoja odprowadziła niespokojnymi oczyma oddalające się nosze. W uszach brzmiały jej jeszcze dziwne słowa umie-

rającego.

„...»Śledzą was. Bądźcie ostrożni«... Co to znaczy?» — myślała.

Przypomniała sobie błysk latarki elektrycznej, który widziała w oknach laboratorium, i zaginiony zeszyt.

Opanowało ją niejasne przeczucie grożącego niebezpieczeństwa.

* *
*

Kapitan Krichalew zgłosił się do komendanta punktu pomiarów dźwiękowych.

— Piętnasta minut osiemnaście — powiedział patrząc na zegarek. — Jeżeli wyjedziemy za kwadrans...

— A gdzie jest ten Instytut? — przerwał mu podpułkownik podchodząc do rozpiętego na ścianie planu miasta.

Zaczął prowadzić palcem po mapie.

— Dwadzieścia trzy kilometry... potem jeszcze osiem. Chyba zdążycie.

Rozległy się ciężkie, szybko po sobie następujące wystrzały armatnie.

— Należałoby wziąć ze sobą jeszcze trzech ludzi — powiedział kapitan Krichalew podchodząc do mapy.

— Weźcie. Naturalnie, weźcie — zgodził się podpułkownik.— Namyśliliście się, kogo wziąć? To dopiero! Trzeba rzeczywiście, żeby... — ciągnął patrząc na kapitana. — Ru-

szajcie się prędzej. Czego jeszcze stoicie?

W kilka minut potem samochód osobowy wyjechał zza drutów kolczastych, kołysząc się na wybojach słabo oświetlonych wąskimi smugami niebieskawego światła, i skierował się w stronę asfaltowanej szosy.

Wkrótce mknął po szosie z pełną szybkością.

* *

*

Wszystko budziło teraz niepokój w Zoi. Stojąca lampa słabo świeciła. Jej blask rzucał na ściany dziwaczne, długie cienie przyrządów rozrzuconych w nieładzie na stole.

Najmniejszy szmer trwożył dziewczynę. Na dworze znowu zaszumiał wiatr. Od czasu do czasu słychać było, jak porusza się i z cicha pokasłuje za drzwiami wartownik.

Zoja siedziała przy włączonym oscylografie i bacznie obserwowała fluoryzujący ekran.

Aparat zarejestrował już osiem pocisków. Niektóre padały gdzieś daleko, inne przelatywały blisko z przeraźliwym rykiem i zgrzytem, potem następował głuchy wybuch, od którego brzęczały szyby. Dziewczyna prowadziła obserwacje zapisując czas i wskazania aparatu.

Grube krople deszczu dzwoniły o szyby, przerywany werbel chwilami zagłuszał szum wiatru.

— Towarzyszko Leontjewa — odezwał się wartownik, gdy zupełnie blisko rozerwał się pocisk. — Może lepiej, żebyście

przeszli do schronu? Jakoś uwzięli się na nasz odcinek...

Zoja podziękowała wartownikowi i oświadczyła, że teraz w żaden sposób nie może odejść.

Dziewczyna zauważyła pewną prawidłowość w wynikach swoich obserwacji. Patrzyła z namysłem na tabelę. „Nie, teraz nie można odejść” – myślała.

W drzwiach, mokry od deszczu, ukazał się porucznik Kowalew.

– Zojo Pietrowna, dlaczego jeszcze tu siedzicie? To do niczego niepodobne! Chodźcie do schronu.

Gdzieś w sąsiedztwie z brzękiem posypały się szyby.

– Nie mogę teraz przerwać obserwacji... Bardzo ciekawe wyniki... – powiedziała dziewczyna zapisując kolejne wskazania przyrządu.

Rozległy się jakieś głosy i tupot nóg. Porucznik szybko skierował się do drzwi i wyszedł na korytarz. Zobaczył kilku wojskowych. Byli to ludzie z punktu pomiarów dźwiękowych.

– Do kogo, towarzysze?! – zawołał porucznik.

Ale odpowiedzi już nie było. Rozległ się straszny huk, który zatrzęsł całym gmachem.

* * *

Porucznik wpadł do laboratorium. Oświetlając pokój lampką elektryczną, której blask z trudem przenikał przez gęstą zasłonę kurzu, ujrzał przerażający obraz zniszczenia.

Dokoła połamane przyrządy. Przez czarne otwory okien wpadał wiatr rozpędzając duszący dym.

Obok przewróconego stołu, wśród białych zwałów tynku, leżała nieruchomo Zoja ściskając kurczowo w rękę ołówek.

— O tak, w swoim czasie ta sprawa spowodowała wiele niepokoju — ciągnął generał marszcząc brwi. — Czy nic o niej nie wiecie?

Siedzący naprzeciwko pułkownik zaprzeczył ruchem głowy.

— Różne pogłoski rozeszły się u nas w Moskwie, ale bardzo niejasne — odpowiedział z namysłem.

Siwy generał artylerii zapalił papierosa i wstał. Promienie zimowego słońca, przebiegające ukośnie od okna przez cały gabinet, oświetlały unoszące się w powietrzu kłęby siniego dymu tytoniowego.



– Przychodzi do mnie dziewczyna – zaczął generał chodząc po pokoju. – Pewno słyszeliście o profesorze Leontjewie? To właśnie jego córka. Pytam, co się stało. Okazało się, że zauważyła – wyobraźcie sobie – bardzo dziwne, niewyjaśnione zjawisko... Trzeba dodać, że u nich w Instytucie była aparatura skonstruowana tuż przed wojną do badania napięcia elektrycznego w powietrzu. Precyzyjne urządzenie, zbudowane – jak to się mówi – według ostatnich osiągnięć nauki i techniki, a w gruncie rzeczy stosunkowo proste. Ustawili na dachu kilka anten w ściśle określonym porządku i połączyli je z oscylografem katodowym. Za pomocą tego przyrządu można było doskonale zaobserwować nawet najmniejsze zmiany w stanie naładowania atmosfery elektrycznością.

Przyznaję, że oświadczenie dziewczyny bardzo mnie zdziwiło. Twierdziła, że nieprzyjaciel ostrzeliwuje Leningrad jakimiś specjalnymi pociskami... elektrycznymi. „Moja aparatura oscylograficzna – powiada – zupełnie wyraźnie wskazuje na to, że te pociski mają olbrzymi potencjał elektryczny. Przecież zwyczajne pociski nie mogą oddziaływać na moje przyrządy”.

„Rzeczywiście – myślę – trzeba się nad tym zastanowić”.

Słuchajcie dalej. Na jednym z punktów pomiarów dźwiękowych pracował przy obliczeniach czerwonoarmista Ozierow, Nikołaj Ozierow...

Generał podszedł do stołu i usiadł w fotelu.

— Ozierow to były student Instytutu Politechnicznego — ciągnął. — Przez kilka lat pracował w laboratorium profesora Leontjewa. Otóż — wyobraźcie sobie — wysyłają tego Ozierowa do Leningradu w delegacji, żeby się postarał o przyrządy pomiarowe, których chwilowo zabrakło w punkcie. Przyjechał do Instytutu, ale za późno. Dowiedział się, że Instytut i wszystkie laboratoria już ewakuowano, a w gmachu urządzają szpital połowy. „Spróbuję — pomyślał — zajrzeć do swojego laboratorium, może jeszcze znajdzie się coś ze sprzętu”.

Podchodzi do drzwi, próbuje — zamknięte. Przypomina sobie, że klucz od jego pokoju otwierał ten zamek. Wchodzi do laboratorium... „Dziwna rzecz — myśli. — Po co zostawili tyle aparatury?” Rozejrzył się — nie ma nic odpowiedniego dla punktu... Ale odchodząc zabrał zeszyt z notatkami Zoi (znał dobrze jej charakter pisma). „Wezmę na pamiątkę — myśli — a przy okazji dowiem się, co oni tutaj robili po moim wyjeździe”. Nawet mu przez myśl nie przeszło, że Zoja jeszcze nie wyjechała.

Generał spojrział z uśmiechem na swego słuchacza.

— Tak więc — powiedział po chwili — Ozierow wraca do swojego oddziału i zaczyna przeglądać zeszyt... I cóż się okazuje? Znalazł notatki o tym właśnie dziwnym zjawisku, które Zoja zauważyła. Zaczyna kombinować. Widzi, że to sprawa poważna. I — wyobraźcie sobie — domyśla się, o co chodzi. Oczywiście, lepiej się w tym orientował niż Zoja.

Przecież pracował na punkcie obserwacji lotu pocisków.

– I cóż się okazało? – niecierpliwie zapytał pułkownik.

– Posłuchajcie... Wynikła arcyciekawa sytuacja. Dwoje ludzi, nie porozumiewając się ze sobą, pracuje w ciągu tej samej nocy nad tym samym zagadnieniem. Ozierow na punkcie pomiarów dźwiękowych rejestruje i oblicza dane o pociskach, przelatujących w kierunku Instytutu Politechnicznego, a Zoja jednocześnie zapisuje wskazania swojego przyrządu, mimo trwającego obstrzału.

– No, a pociski rzeczywiście były elektryczne? – znów zapytał pułkownik.

– Otóż to! Ale posłuchajcie. Niewiele brakowało, a cała sprawa skończyłaby się bardzo smutno. Pocisk trafił w ścianę pokoju, w którym pracowała Leontjewa. Dziewczyna ledwie uszła z życiem. Sześć tygodni przeleżała w szpitalu... Właśnie w chwili wybuchu przyjechali pracownicy punktu pomiarów dźwiękowych z Ozierowem. Otóż... porównali notatki. Wniosek: doskonale się zgadzają. Nawet kierunek lotu można było określić według aparatury oscylograficznej. Przywieźli ze sobą materiały i mapy. Zestawienia nie były trudne: kierunki wiadome według danych pomiaru dźwiękowego. Patrzą na sygnały podane przez oscylograf. Wyznaczają punkty na mapie. Od razu można było ułożyć całą tabelę.

Generał wstał.

– Chodźcie na chwilę ze mną – powiedział. – Pokażę wam coś.

Zeszli o piętro niżej i znaleźli się w obszernym pokoju. Na stołach ustawionych wzdłuż ścian widniał szereg skomplikowanych przyrządów. Pracowali przy nich ludzie, widocznie zajęci ich montowaniem i regulowaniem.

– Przyjrzyjcie się! – zawołał generał wskazując przyrządy. – Nowa, świeżo skonstruowana aparatura do określania linii lotu pocisków, systemu Zoi Leontjewej i Nikołaja Ozierowa.

– Przepraszam, towarzyszu generale – powiedział pułkownik. – Nic nie rozumiem. Czy to rzeczywiście były elektryczne pociski?

– Nic podobnego – odparł generał. – Faszyci nie mieli żadnych elektrycznych pocisków. Wszystko dało się wyjaśnić całkiem prosto. Aparatura oscylograficzna, przy której pracowała Zoja, doskonale określała kierunek zwykłych pocisków. Widzicie, chodzi o to, że każdy pocisk z powodu tarcia w powietrzu naładowuje się do wysokiego potencjału. Stwierdziła to aparatura przeznaczona do mierzenia napięcia elektrycznego w powietrzu. Teraz rozumiecie. Oto właśnie wykańcza się pierwszą serię, przeznaczoną dla Leningradu. Przyrządy pracują nadzwyczaj dokładnie, o wiele lepiej niż aparatura pomiaru dźwiękowego. Tam, uważacie, wiatr wpływa na wyniki. Trzeba wprowadzać poprawki. A w dodatku opracowanie materiałów przy nowej aparaturze odbywa się prędeziej... Chodźcie, zapoznam was z wynalazcami.

Weszli do małego pokoju, gdzie obok stołu zasłanego

stosem wykresów stali Zoja Leontjewa i Nikołaj Ozierow.

* *

*

Zoja tego samego dnia raz jeszcze cofnęła się do pamiętnych przeżyć z jesiennych dni.

– Zojo Pietrowna, ktoś przyszedł do was.

Dziewczyna, wyszedłszy za próg, drgnęła ze zdziwienia: stał przed nią mały kapral, ten sam, któremu udzieliła pomocy w czasie bombardowania.

– Witajcie, towarzyszko. Nareszcie was znalazłem. Przepraszam, że was niepokoję – powiedział zażenowany. – Przyszedłem podziękować... Nigdy tego nie zapomnę.

– Dziękuję za pamięć, towarzyszu kapralu – odpowiedziała Zoja szukając czegoś w pamięci. – Powiedzcie, czy mi się tylko zdawało, czy mówiliście coś naprawdę... mówiliście, że grozi mi jakieś niebezpieczeństwo, że ktoś mnie śledzi...

Kapral uśmiechnął się szeroko i dobrodusznie:

– Mówiłem... rzeczywiście...

Zoja patrzyła na niego, oczekując wyjaśnienia.

– Naturalnie – ciągnął kapral. – Właśnie ja was śledziłem. Porucznik Kowalew polecił mi to. „Postawię – powiada – przy drzwiach wartę, żeby się jacy dywersanci nie dostali do laboratorium, a ty uważaj na nią, jakby gdzie wychodziła, żeby jej się co nie stało“. Porucznik tłumaczył

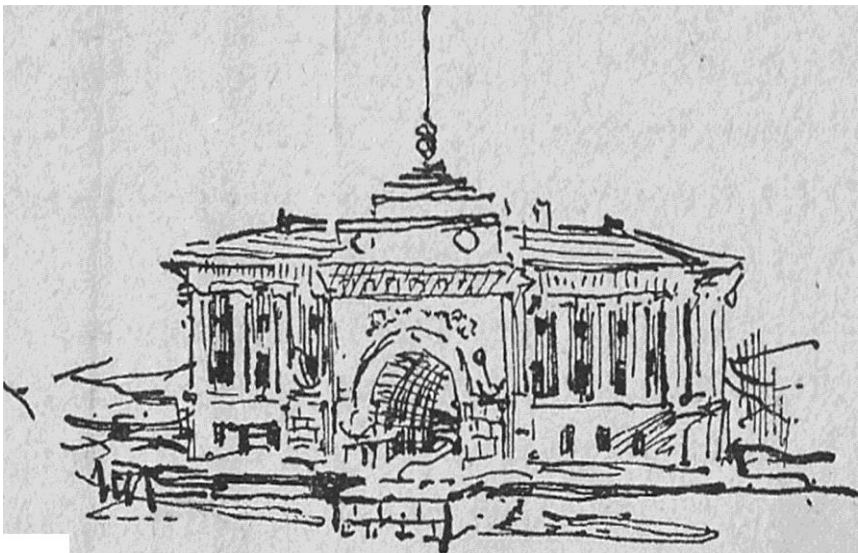
mi, że jakiś wojenny wynalazek... że trzeba czuwać w razie, gdyby wrogowie... Jednym słowem, kazał mi czuwać nad wami nieznacznie. Tylko tymczasem – powiedział – dopóki się wszystko jakoś nie wyjaśni. Bo, widzisz, już ktoś ukradł zeszyt z ważnymi notatkami".

Dziewczyna zrozumiała wszystko. Jeszcze raz mocno uścisnęła rękę kaprała.

– Porucznik Kowalew wyjechał zaraz potem – dodał kapral. – Trudno mi było was odszukać. I każdemu tłumacz się, od kogo i po co...

Kiedy kapral odszedł, Zoja wróciła do swojego pokoju i zabrała się do pracy.

Poczuła radość i spokój. Promienie słońca, rozproszone przez matową, zamarznąłą szybę, napełniały mały pokój łagodnym blaskiem.





DRUGI WZROK

Student piątego roku Instytutu Elektroakustyki, Misza Sawin, był niezmiernie zadowolony. Nic dziwnego! Jedzie na Południe, nad morze. Ma przed sobą ciekawą praktykę w Naukowo-badawczym Instytucie Morskiej Techniki Elektroakustycznej.

Wstawał z miejsca i wysuwając głowę z, okna autobusu w sposób nieprzyjęty przez normalnych, przyzwoitych pasażerów, niecierpliwie czekał, kiedy ukaże się błyszcząca w słońcu, błękitna tafla wody. Opadło go zgoła dziecinne

pragnienie, żeby za wszelką cenę prędeż od innych zobaczyć morze.

Przyjemnie było czuć ciepłe dotknięcie wiatru na włosach, słyszeć szmer kół trących o asfalt i dźwięczne, niemal metaliczne granie cykad.

– Nie kręćcie się, towarzyszu. Przeszkadzacie mi – rozległ się surowy głos siedzącej obok dziewczyny.

Trzeba było odejść od okna i usiąść.

– Zaraz będzie widać morze – jakby tłumacząc się mruknął Misza.

– Cóż z tego? – sucho odpowiedziała dziewczyna nie patrząc na Miszę. Po czym, odwróciwszy głowę, dodała: – Morze wam nie ucieknie. Niedługo dojedziemy.

„Sucha istota, pozbawiona najprostszego poczucia romantyzmu. – z urazą pomyślał Misza przyglądając się sąsiadce, małej i rzeczywiście „suchej“, o czarnych oczach i jeszcze czarniejszych, gładko uczesanych włosach.

– Dla was to jest naturalnie niezrozumiałe, ale dla mnie morze to nie tylko określona ilość słonej wody... – mętnie oświadczył Misza.

– A dlaczego sądzicie, że dla mnie morze to tylko „określona ilość wody“? – nagle obraziła się dziewczyna.

– Mam za sobą pewne doświadczenie życiowe i potrafię określić charakter człowieka z jego powierzchowności – powiedział Misza z przechwałką.

Jednocześnie uśmiechnął się, żeby trochę złagodzić śmiałość tego oświadczenia i podkreślić, że to przecież żart.

Ale dziewczyna nie zwróciła najmniejszej uwagi na uśmiech i odwróciła się, dając do zrozumienia, że nie życzy sobie dalszej rozmowy.

„Obrażalska i nie zna się na ludziach... — zdecydował Misza. — Powinna była się domyślić, że żartuję i nie zamierzam się kłócić“.

— Nieładnie, młodzi ludzie... — odezwała się z wyrzutem staruszka, siedząca za nimi. — Młodzieniec powinien ustąpić pannie miejsca przy oknie, i basta.

Tymczasem autobus ostro zakręcił na serpentynie górskiej drogi i zjechał w dół, zbliżając się do widocznej z dala, niewielkiej, nadmorskiej osady. Przejechał obok schludnych, białych domków, krytych czerwoną dachówką, i szeregów wspaniałych cyprysów.

— Macie wasze morze. Szybciej zachwycajcie się, żeby nic nie przegapić — powiedziała z uśmiechem dziewczyna.

Jednak, zanim Misza zdążył spojrzeć we wskazanym kierunku, autobus znów skręcił i wjechał w ulicę otoczoną dwupiętrowymi domami. Pasażerowie wyraźnie się ożywili. Wielu przygotowywało się do wysiadania. Misza zaczął też zbierać swoje rzeczy.

— Proszę mi pomóc zdjąć walizkę — zwróciła się do niego sąsiadka bardzo uprzejmym tonem, w którym brzmiała nie tylko prośba, ale i pewność siebie, granicząca z rozkazem. — Na prawo, ta żółta.

„Też coś... W dodatku rządzi mną" — przemknęło przez głowę Miszy. Ale zdjął w milczeniu z półki dość ciężką wa-

lizkę i zaniósł ją do wyjścia.

– Byłem nad morzem w dzieciństwie. Aj teraz będę pracował tu przez całe lato – mówił przeciskając się z trudem wśród tłumu zgromadzonego koło przystanku.

Misza zasapał się, bo bagaż był ciężki, a jaskrawe, południowe słońce, niepodzielnie panujące na bezchmurnym niebie, dawało o sobie znać nieznośnym upałem.

– A wy jesteście zapewne mieszkanką tego osiedla?

– Jaki domyślny – z przekąsem zauważyła dziewczyna. – I pewno sądzicie także, że nie posiadam dość sił fizycznych, żeby nieść walizkę?

– Naturalnie – wycodził przez zęby Misza. – Dokąd każecie ją dostarczyć?

– Dziękuję. Dajcie mi ją.

Dziewczyna szybkim i zręcznym ruchem wyrwała a rąk Miszy walizkę i poniosła ją z niezwykłą łatwością.

– A co jeszcze myślicie o mnie, towarzyszu jasnowidzący? – zwróciła głowę do Miszy, który znalazł się o kilka kroków za nią.

– Myślę, że za chwilę spotkamy waszą mamę albo ciotkę czy wujaszka, którzy będą się cieszyli z powodu waszego szczęśliwego powrotu. A ja muszę iść szukać Instytutu Morskiego, do którego przyjechałem na praktykę – lekceważąco odpowiedział Misza.

Nagle dziewczyna zatrzymała się i postawiła walizkę na ziemi.

– Do jakiego instytutu przyjechaliście na praktykę? Po-

wtórzcie!

– Do Morskiego. Do Naukowo-badawczego Instytutu Morskiej Techniki Elektroakustycznej. Jeśli mieszkacie tutaj, słyszeliście na pewno o tym Instytucie, a może nawet wiecie, gdzie się znajduje – na szosie Nadmorskiej, niedaleko od miasta – odpowiedział Misza zatrzymując się.

Dziewczyna zapytała z uśmiechem:

– A dlaczego sądzicie, że jestem mieszkanką tej miejscowości?

– Macie smagłą cerę jak wszyscy południowcy. Traktujecie z widoczną obojętnością piękno tutejszej przyrody: obserwowałem was podczas podróży.

– Mylicie się, znawco ludzkich charakterów – drwiąco odparła dziewczyna. – Nie mieszkam tutaj, pochodzę z Leningradu i przyjechałam na praktykę do tego samego Instytutu, co wy. Zrozumiano?

– W takim razie proszę nie nazywać mnie już znawcą charakterów ani jasnowidzem. Pozwólcie, że się przedstawię. Nazywam się Sawin, na imię mi Misza – odrzekł chłopiec szczerze uradowany, że nieznajoma będzie towarzyszem jego przyszłej pracy.

– Luda Kamarinska – powiedziała dziewczyna wyciągając rękę.

Młodzi ludzie długo stali niedaleko wielkiej palmy, która miała pień jakby owinięty włochatym wojłokiem i liście o ostrych brzegach. Palma rosła obok trotuaru, w środku grupy roślin dekoracyjnych, przed budynkiem stacji auto



busowej. Ulicą przechodzili ludzie, przeważnie jasno ubrani, i spoglądali z uśmiechem na młodzieńca i dziewczynę. Może mieszkańcy tego nadmorskiego osiedla mieli zwyczaj witać każdego przybysza takim życzliwym uśmie-

chem? W każdym razie uśmiechy przechodniów, bezchmurne, błękitne niebo, blask słońca odbity od białych ścian budynków i ciepły, łagodny wiatr, w którym wyraźnie czuło się bliskość morza – wszystko to wywoływało u Miszy odświeżny nastrój.

Postanowili iść piechotą do Instytutu – biegnący ulicą chłopiec twierdził, że to „bardzo blisko”: wystarczy przejść ulicę, wybrzeże, skręcić w lewo na asfaltowaną drogę wzdłuż brzegu morza, a stamtąd będzie już tylko ze trzy, cztery kilometry do Instytutu.

Naturalnie, istnieją na świecie ludzie, którzy wysłuchawszy informacji chłopca o piegowatej twarzy i wyglądzie łobuziaka, złękliby się i woleli pojechać miejscowym autobusem, taksówką albo co najmniej poszukaliby tragarza. Ale nasi bohaterowie, jak już mówiłem, byli młodzi i zadzirzyści. Każde z nich chciało wykazać się przed drugim sprawnością fizyczną i wytrzymałością. I po co się spieszyć? Czasu dość. Do pracy mieli przystąpić dopiero nazajutrz.

Później nie tylko nie żałowali tej decyzji, ale – przeciwnie – byli z niej radzi, ponieważ piesza wędrówka z miasta do Instytutu pozwoliła im zetknąć się z ciekawym, dziwnym, a nawet do pewnego stopnia tajemniczym zjawiskiem.

Wolno przeszli przez miasto. Zatrzymywali się przy wystawach, nawet weszli do jednego sklepu, bo zaciekały ich miejscowe wyroby chałupnicze: pudełka i różne drobiazgi z muszelek.

Minęli jakieś sanatorium z solarium na dachu i nagle

znaleźli się poza miastem. Doszli do asfaltowanej drogi prowadzącej wzdłuż brzegu usianego otoczkami.

Był upał. Misza miał wielką ochotę się wykąpać – marzył wprost o morskiej kąpieli, odkąd się dowiedział, że ma pojechać na Południe. Uważał jednak, że towarzysząca mu dziewczyna zasługuje na to, żeby przed nią zademonstrować powagę i opanowanie.

–Oczywiście, hydroakustyka będzie się bardzo szybko rozwijała i zajmie jeszcze wyższe, odpowiedzialne miejsce – mówił do towarzyszki, starając się nadać „akademicką“ suchość swojej przemowie. – Zauważcie, Ludo, że do niedawna stosowano w praktyce tylko echosondy; są to – jak pewno wiecie – przyrządy określające głębokość morza według szybkości odbicia dźwięku od dna morskiego. Przy okazji muszę zaznaczyć, że mój kolega, Stiepan Gołubicki, wynalazł echosondę nowego systemu; będzie to tematem jego pracy dyplomowej. Bardzo oryginalny pomysł. Pozwala niezwykle szybko mierzyć głębokość morza.

–Na czym polega oryginalność tego pomysłu? – zainteresowała się Luda.

–Wyobraźcie sobie, że do dna statku przymocowany jest radiator ultradźwiękowy, niewiele różniący się od zwyczajnego.

Wprowadza go się w ruch elektrycznym generatorem, prawie takiego typu jak zwykle. Otóż... sygnał elektryczny przekazuje się z generatora na radiator przymocowany do dna statku i ten zaczyna działać – wysyła w wodę fale

dźwiękowe, nieuchwytnie dla ucha ludzkiego: ultradźwięk.

– No i cóż z tego? – zapytała Luda niecierpliwie, ponieważ raz było ją zbyt wielkie uproszczenie wykładu.

– Fale dźwiękowe idą od statku w masę wodną, ale nie we wszystkich kierunkach, lecz, głównie w jednym: statek ma być zaopatrzony w oryginalnej konstrukcji reflektor – wklęsłe zwierciadło ze stali.

– A co dalej?

– Cóż, potem fale dźwiękowe rozchodzą się w wodzie morskiej, jak wiecie, z pewną określoną szybkością, a odbiwszy się od dna, powracają do statku z tą samą szybkością. A więc można ustalić czas od chwili powstania dźwięku do chwili jego powrotu, a stąd określić odległość od powierzchni wody do dna.

– Przecież ja to wszystko wiem! – nie wytrzymała wreszcie Luda. – Pytam, co dalej, to znaczy: jakie jest to oryginalne urządzenie do odbierania dźwięku, określania czasu i szybkiego obliczania odległości, które wymyślił wasz kolega? Przecież nadajnik, jak sami mówicie, jest całkiem zwyczajny.

– Właśnie do tego prowadzę. Czyż nie rozumiecie?

Misza zaczął z zapałem wyjaśniać szczegółowo istotę wynalazku swego kolegi.

Rozmawiając o technice, związanej z ich przyszłym zawodem, o codziennych, życiowych sprawach, o swoich uczelniach, o kolegach i przyjaciółach, odbyli dość długą drogę, prawie tego nie zauważywszy. Przed nimi ukazał się

duży, wielopiętrowy budynek, otoczony parkiem. Był to widocznie ów Instytut Morskiej Techniki Elektroakustycznej – miejsce ich praktyki.

– Tak – powiedział Misza w zadumie, kiedy nie umawiając się wcale, przystanęli, żeby odpocząć. – Więc to tak wygląda... Rzeczywiście, tuż nad morzem! Ciekawe, gdzie są mieszkania? Bliżej morza niż główny gmach, czy dalej? Muszę się przyznać, że zamierzam zażywać kąpieli rano przed pracą, przed obiadem i po pracy.

– Domyślam się – odpowiedziała Luda patrząc badawczo na towarzysza. – I teraz też chętnie byście się kąpali.

–Rzeczywiście. Wasz pokorny sługa gotów jest natychmiast pogrążyć się w otchłani morza – wesoło powiedział Misza kłaniając się żartobliwie i próbując wykonać nogami coś w rodzaju dworskiego ukłonu.

–Spójrzcie, ile tu łódek rybackich! A tam duży, biały kuter. Ma jakieś niezwykle kształty – powiedziała Luda patrząc z zachwytem na morze.

–Rzeczywiście, zadziwiający kuter! Pierwszy raz widzę taki. Pewno utrzymuje komunikację pasażerską pomiędzy najbliższymi osadami nadmorskimi – odpowiedział Misza.

Szybko podeszli do morza. Misza pierwszy skoczył do wody z rozpędu i zaraz zanurzył się z głową. Potem, wydawszy przenikliwy okrzyk „Cudownie!“, zaczął bić po wodzie rękami i nogami, i to tak energicznie, że znikł cały w obłoku bryzgów, grających w słońcu wszystkimi kolorami

tęczy.

Luda powoli podeszła do brzegu, zapinając na głowie gumowy czepek, niezbędną część ekwipunku dobrej pływaczki. Rzeczywiście, doskonale pływała. Zanurzając twarz w wodzie, popłynęła czałem.

Początkowo Misza chciał dogonić dziewczynę i popłynąć z nią razem, ale wkrótce przekonał się, że to przekracza jego możliwości. Luda płynęła zbyt szybko. Wobec tego, żeby nie narazić się na śmieszność, przerwał pogoń, wrócił i udawał, że leżenie w wodzie tuż przy brzegu, gdzie muskały go drobne fale przyływu, sprawia mu wielką przyjemność.

W oczekiwaniu na powrót dziewczyny postanowił – nie odpływając daleko od brzegu – nurkować z otwartymi oczami, żeby obejrzeć dno morskie. Był to jego ulubiony sposób nurkowania podczas kąpieli.

Zanim zdążył zanurzyć się głębiej, uderzyło go dziwne zjawisko: w wodzie słyhać było wyraźnie dosyć głośny, wysoki i przeciągły dźwięk o zmiennym tonie. Wtórował mu drugi – niski i huczący. Dźwięki zlewały się w żalną i przykrą kakofonię. Misza przypomniał sobie noc spędzoną w lesie. Było to wiosną. Przelatując z drzewa na drzewo sowy jęczały i wydawały szydery chichot. Drzewa skrzypiały złowieszczo. Wiatr dziko wył. Usłyszany w wodzie dźwięk przypominał krzyk sowy, ale był bardziej przeciągły.

„Co to znaczy? – pomyślał ze zdziwieniem Misza wyrzucając głowę z wody. – Może mi się przywidziało ?“

Pomyślawszy chwilę i nie znajdując żadnego wyjaśnienia, dał znowu nurka i zaczął nasłuchiwać. Dziwny dźwięk słychać było jeszcze wyraźniej. Chwilami przybierał na sile, jakby się zbliżał, to znów wszystko cichło. Właśnie w momencie kiedy Misza musiał wynurzyć głowę, żeby zaczerpnąć powietrza, dźwięk zabrzmiał szczególnie głośno, a potem od razu wszystko ucichło. Tylko z daleka dochodził pisk, żałosny i stopniowo zanikający. Misza wyteżył całą wolę, żeby nie oddychając pozostać pod wodą jeszcze czas jakiś, ale dziwny dźwięk nie powtórzył się więcej. Słychać było tylko głuchy zgrzyt niesionych przez przybrzeżne fale i uderzających o siebie kamyków.

Wkrótce wróciła Luda. Szybko wyszła na brzeg. Zdjęła czepek kąpielowy, wyciągnęła się na plaży z zamkniętymi oczami, wystawiając ku słońcu mokrą twarz. Misza też wyszedł na brzeg i położył się obok.

— Czy nic nie słyszeliście w wodzie? — spytał jakby zakłopotany.

— W wodzie? Ciekawe, co można słyszeć w wodzie? — zdziwiła się dziewczyna.

— Dźwięk rozchodzi się, jak pewno wiecie, w wodzie szybciej i dalej niż w powietrzu.

— Tak, o tym wiem z całą pewnością. Tylko nie wiadomo, co właściwie może powodować dźwięki w wodzie. Ryby — jak pewno zauważyliście z właściwą wam spostrzegawczością — milczą jak zakłete.

– A ja właśnie nurkując coś słyszałem. Bardzo dziwny i nie dający się wytłumaczyć dźwięk. Czy słyszeliście kiedy, jak hukają sowy?

– Co prawda, nie słyszałam... – odpowiedziała dziewczyna podnosząc głowę i spoglądając z zaciekawieniem na towarzysza. – Widzę, że coś was zaniepokoiło – dodała po chwili, opuszczając głowę.

– Nie, po prostu bardzo mnie to zainteresowało. Takie już mam usposobienie: jeżeli zauważę coś ciekawego, to nie mogę sobie dać rady, dopóki nie znajdę pełnego, wyczerpującego wyjaśnienia.

– Godna pochwały cecha prawdziwego badacza – zażartowała Luda nie otwierając oczu. – Gdybym usłyszała w wodzie niepokojący was dźwięk, to może pomogłabym ustalić jego pochodzenie. Do czego podobny był ten głos? Zresztą... poczekajcie... coś sobie przypominam. Gdy płynęłam, szum wody zagłuszał wszystkie inne dźwięki; poza tym miałam na głowie gumowy czepek, ściśle zakrywający uszy, ale swoją drogą, jeżeli się nie mylę, chwilami rzeczywiście słyszałam coś podobnego do wycia.

– Szkoda, że tak słabo znam faunę morską – westchnął Misza przewracając się na bok. – Może tu są jakieś zwierzęta morskie, może ryby... Przypominam sobie, że kiedyś czytałem opis walki pomiędzy ośmiornicą i homarem. Podróżnik obserwował to zdarzenie siedząc w łódce. Opisywał, jak morskie potwory, szczepione ze sobą, walczyły dłu-

go, jak ośmiornica starała się udusić przeciwnika swoimi mackami, opatrzonymi w przyssawki, a homar, mający jak gdyby dziób drapieżnego ptaka, szarpał ciało ośmiornicy na strzępy. Ale nie o to chodzi. Ważne, że obserwator słyszał wtedy przenikliwy krzyk homara, coś w rodzaju gwizdu i ryku. I ten dźwięk był tak głośny, że – jak się później okazało – zwrócił również uwagę rybaków w odległości około kilometra od miejsca walki.

– Co za obrzydliwość! – oburzyła się dziewczyna. – Po co mi to opowiadacie? Jeżeli potraficie określać charakter ludzi, czym chwaliliście się na początku naszej znajomości, to powinniście odgadnąć, że nie cierpię bójek nawet pomiędzy zwierzętami – lądowymi czy tam morskimi. Ale może chcieliście mnie tylko postraszyć ośmiornicą i homarem, żebym nie odpływała za daleko od brzegu? Nic z tego! Doskonale wiem, że tutaj nie ma takich straszydeł. Jedynym niebezpieczeństwem mogą być delfiny. One, oczywiście, nigdy nie napadają na człowieka, ale czasem mogą – że tak powiem dla żartu – zaczepić ogonem pływającego.

– Przepraszam – zaczął Misza z uśmiechem. – Nie zamierzałem was straszyć, chociaż przyznaję szczerze, że zazdroszczę wam tego crawla... Interesuje mnie po prostu naukowe wyjaśnienie dziwnych dźwięków, które słyszałem przez chwilę w wodzie. A co do mojej zdolności określania charakteru człowieka z wyglądu zewnętrznego, to pokornie składam tę broń u waszych nóg. Właśnie idzie wzdłuż

brzegu jakiś człowiek. Może wspólnie określimy: kto to jest, jaki jest jego zawód, dlaczego samotnie spaceruje i o czym myśli.

Przypadkowy przechodzień nie był szczególnie ciekawym obiektem dla zainteresowań Miszy, ale młodzieniec chciał zmienić temat rozmowy. Rzeczywiście – nad nimi wspaniale świeci południowe słońce, obok szumi ciepłe morze, łagodne, zielonkawobłękitne u brzegu i szafirowe w dali, a tu rozmowa o obrzydliwym dźwięku usłyszanym w wodzie, o walce pomiędzy ośmiornicą a homarem...

W dali, prawie nad samym brzegiem, szedł człowiek z laską w rękę. Widać było w jego ruchach jakieś skrępowanie. Zatrzymywał się często, jakby nasłuchiwał, i poruszał laską kamyki. I znowu szedł jakimś skradającym się krokiem, prawie nie uginając nóg w kolanach i podnosząc głowę ku górze.

– Może on źle widzi? – wyraziła przypuszczenie dziewczyna.

– Co by robił ślepy na brzegu morza bez przewodnika! Zwróćcie uwagę: znów się zatrzymał, patrzy na morze. Właśnie patrzy!

– A jednak wydaje mi się, że on źle widzi – powiedziała Luda wstając.

Wkrótce samotny wędrowiec podszedł tak blisko, że mogli u się przyjrzeć. Był to trzydziestopięcioletni człowiek o bladej twarzy, w popielatym, schludnym ubraniu. Jego oczy były wciąż prawie nieruchomo skierowane w jeden

punkt na morzu.

– Spójrzcie na jego twarz... – szeptem prawie mówiła Luda. – Jakże jest pełna wyrazu! To się rzadko zdarza u niewidomych.

– Cóż ona wyraża według was? – równie cicho zapytał Misza.

Luda nie odpowiedziała od razu. Jeszcze chwilę przyglądała się nieznanemu, który zatrzymał się niedaleko, z twarzą zwróconą ku morzu. Dopiero gdy znów zaszurał swym kijem, szepnęła:

– Twarz wyraża męstwo, niezłomną wolę zwycięstwa... człowiek ten wiele przecierpiał, ale go to nie złamało. Jest niewidomy albo źle widzi, jest też i chory... to człowiek o wielkiej sile ducha... tak sędzę...

– Czy nie za wiele: wola zwycięstwa, siła ducha! – ironicznie zauważył Misza klękając ostrożnie, żeby nie wywołać hałasu.

– A wy co o nim myślicie?

– Według mnie – zaczął Misza niepewnie – według mnie przed nieszczęściem, to jest przed utratą wzroku, był energiczny, może nawet posiadał część cech, które mu przypisujecie. Ale obecnie pozostał już tylko ślad przeszłości. Teraz jest, oczywiście, inwalidą, pewno żyje z emerytury i mieszka sobie spokojnie nad morzem.

Luda chciała jeszcze coś powiedzieć, ale nieznanomy podszedł tak blisko, że mógł usłyszeć nawet szept – wiadomo, że ociemniałi mają wyostrzony słuch.

– Przepraszam, towarzyszu – zapytał Misza – może trudno wam trafić do drogi? Może was odprowadzić?

– Dziękuję bardzo – odpowiedział nieznajomy miękkim, głębokim barytonem. – Nie skorzystam z waszej pomocy, nie szukam drogi. Po prostu spaceruję nad brzegiem morza.

– Może posiedzicie z nami? – zaproponowała Luda.

Nieznajomy zwrócił głowę w stronę dziewczyny. Wyraz jego twarzy zdawał się świadczyć o pewnym wysiłku. Można było sądzić, że natęży wzrok, żeby przyjrzeć się spotkanym ludziom.

– Skorzystam z waszej propozycji i usiądę na chwilę.

Misza wstał szybko, żeby mu pomóc.

– Dziękuję. Dam sobie radę – zaprotestował nieznajomy. – Pewno zauważyliście, że z moim wzrokiem nie jest dobrze. Ale nie można powiedzieć, żebym był zupełnie ślepy – dodał siadając i ostrożnie kładąc koło siebie laskę. – Widzę! Niezbyt wyraźnie, ale widzę! Dla was jest teraz jasny dzień, słońce świeci, morze lśni wszystkimi barwami, a ja widzę to wszystko jako krajobraz w blasku księżyca. Morze to szara masa. Widzę na niej jasną ścieżkę w rodzaju tej, którą widujecie w księżycową noc. Ludzie – to same prawie sylwetki. Co prawda, przy pewnym wysiłku woli widzę czasem bardziej wyraźnie, ale natężam wtedy wzrok i czynię to tylko w wypadku ostatecznej konieczności. To jest bardzo męczące...

– Ale zobaczyliście nas? – zapytała Luda, żeby przerwać niezręczne milczenie.

– Tak, zobaczyłem – odpowiedział nieznajomy i lekko Skinął głową. – Jesteście w kostiumach kąpielowych. Macie walizki. Widać, że przyjezdni, goście.

Znów nastąpiło milczenie. Misza uważał, że nie wypada podtrzymywać rozmowy o utraconym wzroku. Chorzy nie-raz chętnie opowiadają o swoich cierpieniach, ale nie lubią, gdy inni przypominają im o chorobie. To samo pomyślała Luda.

– Dobry wzrok to szczęście – powiedział nieznajomy w zadumie. – Człowiek powinien daleko widzieć. Wszystko widzieć i wszędzie! W każdych warunkach!

– Pewno myślicie tylko o tym, żeby się wyleczyć – ostrożnie rzekł Misza.

– Ja? – zapytał nieznajomy z tak szczerym zdziwieniem, jakby mu zadano zupełnie bezsensowne pytanie. – Ja? – powtórzył odwracając głowę do Miszy. – Dlaczego tak myślicie?

– Przed chwilą mówiliście, że każdy człowiek powinien widzieć daleko, dokładnie i – zdaje się – nawet w trudnych warunkach! – dodała Luda.

– Naturalnie!

– Więc dlaczego tak się dziwicie?

– Bo to tak dziwnie brzmi: „Myślicie tylko o tym, żeby się wyleczyć”. Dziwi mnie słowo „tylko”. Naturalnie, leczę się, ale oprócz tego myślę i troszczę się o różne rzeczy. Między innymi – o wzrok innych ludzi.

– Jesteście lekarzem?! – zawołał Misza. – Pewno szuka-

cie nowego, radykalnego środka przeciwko ślepotcie!

– Niestety. Wcale nie znam się na medycynie.

– Więc nie jesteście lekarzem? – zapytał Misza zakłopotany.

– Nie – powiedział nieznajomy z zagadkowym uśmiechem, jakby chciał zaznaczyć, że niechętnie mówi o swoim prawdziwym zawodzie.

Znów nastąpiło nieprzyjemne milczenie. Wnioskując z niecierpliwych ruchów ociemniałego, jakimi szukał swej laski, Misza i Luda zrozumieli, że zamierza odejść.

– Przed chwilą – powiedział Misza – obserwowałem zabawne zjawisko. Czy uwierzycie, że w wodzie słyszałem zupełnie wyraźnie jakieś dziwne zawodzenie? Jakieś żalosne dźwięki... Dałem nurka w wodę i od razu je usłyszałem. Jak myślicie, co to może być?

– Doprawdy nie wiem – odpowiedział nieznajomy z zakłopotaniem i twarz jego przybrała wyraz niepokoju. – W przyrodzie istnieje tyle dźwięków!

– Posiedzielibyście z nami – poprosiła Luda.

– Nie, nie, dziękuję. Niestety, muszę się śpieszyć. Czas mojego poobiedniego spaceru minął. Nie mogę zatrzymać się ani na chwilę.

Nieznajomy mówił szybko. Zmieszanie, graniczące z lękiem, malowało się w jego ruchach.

– Bądźcie zdrowi. Życzę wam przyjemnego wypoczynku – powiedział prędko i lekko kiwnął głową. Potem pośpiesznie ruszył w tę samą stronę, skąd przyszedł.

– Bardzo dziwny człowiek – zauważył Misza, kiedy nieznajomy był już stosunkowo daleko.

– Tak... rzeczywiście – powiedziała przeciągle Luda.

– Wiecie co? – dodał Misza odprowadzając wzrokiem oddalającą się sylwetkę. – Ręczę, że to wiadomość o dźwięku słyszonym pod wodą tak go zaniepokoiła. Zauważyliście, jak zaraz po moim opowiadaniu zaczął się śpieszyć do domu?

– Tak, zauważyłam – odrzekła cicho Luda przewracając się na plecy i zamykając oczy – a jednak on mi się podoba. Bardzo mi się podoba – zakończyła prawie szeptem.

– Pewno macie równie dziwny charakter, jak on, i dlatego wam się podoba – odpowiedział Misza, uważnie przyglądając się dziewczynie. Nagle złapał się na tym, że słowa Ludy zaboląły go.

Dziewczyna otworzyła oczy i uważnie, z pewnym zdziwieniem spojrzała na Miszę.

– Gniewacie się? – zapytała.

– Ani trochę. Zdawało się wam. Dziwnym ludziom różne rzeczy wydają się dziwne! – żartobliwie odpowiedział Misza wstając.

– Nie, ale to w każdym razie bardzo interesujący człowiek. Szkoda, że nie udało nam się zawrzeć z nim bliższej znajomości – z uporem powtórzyła Luda i zaczęła się pośpiesznie ubierać.

* *

*

Naukowo-badawczy Instytut Morskiej Techniki Elektroakustycznej wywarł wielkie wrażenie na Miszy. Mieścił się w dużym gmachu i zajmował mnóstwo obszernych i jasnych pokoi. Prawie wszędzie były miękkie dywany i ludzie poruszali się tak cicho, jakby zupełnie nie dotykali podłogi.

Laboratorium, do którego skierowano Miszę na praktykę, nosiło krótką i nic nie mówiącą nazwę „L-3”. Łatwo się było domyślić, że litera „L” oznacza laboratorium, ale co do cyfry „3”, to trudno było coś z niej wywnioskować. W Instytucie istniało pięć laboratoriów, a każde zawierało pięć lub sześć działów.

Trzecie laboratorium – L-3 – zajmowało dziewięć sąsiadujących ze sobą pokoi na drugim piętrze.

W jednym z nich od rana pracował Misza przy długim stole laboratoryjnym. Przez dwa okna, otwarte na oścież, widać było morze i wierzchołki drzew parku.

Kierownik oddziału, człowiek w średnim wieku, z siwiejącymi włosami zaczesanymi w tył, inżynier Władimir Iwanowicz Goworkow, powitał Miszę bardzo serdecznie. Długo ścisnął jego rękę, jakby go znał od dawna. Można by przypuszczać, że spotkał przyjaciela po długiej rozłące.

– Przede wszystkim nie krępujcie się, bądźcie jak u siebie w domu. Mamy tu zgrany kolektyw, znajdziecie się wśród wspaniałych towarzyszy – mówił nie puszczając ręki studenta.

Ale na pytanie praktykanta, na czym właściwie polega praca laboratorium, jakie spełnia zadanie, Władimir Iwanowicz odpowiedział niewyraźnie. Misza zrozumiał, że się pospieszył: wiedział, że niektóre instytucje naukowo-badawcze prowadzą różne tajne prace, o których ostatecznym celu wiedzą tylko osoby upoważnione, że kradzież wynalazków z zakresu nauki i techniki przez obcych agentów zmusza do wielkiej ostrożności.

– W naszym dziale budujemy czuły hydrofon specjalnej konstrukcji, który pozwala odbierać dźwięk tylko z określonego kierunku, po prostu mówiąc: hydrofon kierunkowego działania – wyjaśnił inżynier Goworkow zakreślając dłonią lewej ręki szerokie półkole. – Hydrofon będzie częścią aparatury, z którą zapoznacie się później... Oto Jewgienij Wasiljewicz Dubin, nasz znakomity mechanik, który – jak się wkrótce sami przekonacie – ma złote ręce. Na początek wypadnie wam zabrać się do montowania prototypu hydrofonu – powiedział podchodząc z Miszą do poważnego, skupionego młodzieńca lat dwudziestu, odzianego w granatowy kombinezon z mnóstwem kieszeni i zamków błyskawicznych.

– Żenia – mruknął tamten przy powitaniu.

Wkrótce Misza przekonał się, że mechanik Dubin, jego towarzysz pracy, zresztą miły i sympatyczny człowiek, rzeczywiście znający doskonale swoje rzemiosło, ma jedną swoistą cechę charakteru: w każdej, nawet drobnej sprawie przemawia z taką powagą, że najzwyczajniejsze słowa na-

bierają tajemniczego albo nawet groźnego znaczenia.

Pierwszy dzień praktyki upłynął Miszy szybko, bo robota była ciekawa.

W połowie dnia woźna przyniosła małą skrzynkę, napełnioną przezrystymi płytkami i sześciankami, poprosiła o pokwitowanie i odeszła. Wkrótce wyszedł z pracowni Władimir Iwanowicz.

– Piezoelementy – szepnął Żenia, ruchem głowy zwracając uwagę Miszy na skrzynkę.

A że praktykant milczał, więc Żenia uważał za stosowne rozwinąć szerzej swoje myśli o piezoelementach.

– U nas, na dole – zaczął patrząc bacznie na Miszę – jest pracownia, w której produkuje się kryształy soli Seignette’a, a z nich robi się właśnie te piezoelementy. Bardzo zabawne... Stoją duże słoje z roztworem soli Sedgnette’a, a w nich w miarę parowania wody tworzą się kryształy. Nieraz tworzą się takie... – Żenia rozstawił palce, pokazując wymiary kryształków, i zamilkł nagle, jakby wyznał największą tajemnicę i oczekiwał, jak zareaguje słuchacz.

– Potem rozpiłowuje się kryształy na płytki, powierzchnię płytek pokrywa się warstwą przewodzącą prąd elektryczny... i otrzymuje się piezoelement. A czasem piezoelementy robi się nie z soli Seignette’a, tylko z kwarcu. Wiecie, jak one pracują?

Misza dobrze wiedział, co to jest piezoelement i jak pracuje, ale poprosił mechanika o wyjaśnienie. Bawił go

bardzo poważny ton Żeni.

– Otóż widzicie – mówił Żenia wyjmując ze skrzynki jedną z płytek. – Widzicie, że z obu stron jest jakby pokryta srebrem. To właśnie warstwa przewodząca prąd elektryczny. No, a dalej? Podłączacie do tych srebrzystych powierzchni przewodnik pod napięciem i od razu płytka się wydłuża. Małutkie, naturalnie, niewidoczne dla oka wydłużenie! A co będzie jeżeli włączyć prąd zmienny? Płytka zacznie się wydłużyć i kurczyć na przemian. Będzie drgać!

Oczy młodego mechanika zabłysły ogniem natchnienia, widocznie cieszyła go rola krzewiciela wiedzy, ale w dalszym ciągu mówił przyciszonym głosem, jakby zwierzał słuchaczowi największe tajemnice.

– Wibrować! Drgać! – mówił pokazując szybkim ruchem palców, jak powinna drgać płytka. – To zjawisko polegające na rozszerzaniu i kurczeniu się niektórych kryształów pod wpływem napięcia elektrycznego nazywa się piezoprefektem... Teraz zobaczmy, gdzie to można zastosować w praktyce. Można zrobić nadajnik dźwięku. Jeżeli taką wibrującą płytkę z soli Seignette'a przycisnąć do membrany, to ona także zacznie drgać razem z płytką i wysyłać dźwięk w powietrze lub w wodę. Nadajnik, zbudowany na zasadzie piezoeffektu, może wydawać nawet najwyższy, nieuchwytny dla ludzkiego ucha dźwięk – ultradźwięk.

– Bardzo ciekawe – wtrącił Misza.

– To jeszcze nie wszystko – ciągnął mechanik uśmiechając się z zadowoleniem, co wyraźnie świadczyło, że cieszy go zainteresowanie słuchacza. – A jak są zbudowane hydrofony – odbiorniki dźwięku w wodzie? Bywają, oczywiście, różne hydrofony, ale najczulsze są te, które pracują na zasadzie piezoeffectu. Tu znowu ma znaczenie zasada odwracalności... Piezoelement, jeżeli do niego doprowadzić prąd elektryczny, kurczy się albo rozszerza. A znów jeżeli go ścisnąć i rozciągać, to na jego naelektryzowanych powierzchniach powstanie prąd elektryczny. Wyobraźcie sobie membranę. Jest to, naturalnie – jak każda membrana – okrągła płytka z elastycznego materiału: stali, duraluminium albo miki; stałe drga, niewidocznie dla oka, pod wpływem dźwięku, czyli drgań falowych w powietrzu albo w wodzie. To znaczy, że jeżeli do membrany trwale przymocować piezoelement, to drgania membrany przejdą na niego i pod wpływem tych samych drgań zacznie się on kurczyć i rozszerzać. Na powierzchni kryształu powstanie dzięki temu zmienne napięcie elektryczne. W ten sposób całe to urządzenie będzie odbierało dźwięk i zmieniało go w drgania elektryczne, jak to czyni każdy hydrofon. Rozumiecie?

– Rozumiem, dziękuję – powiedział Misza starając się opanować uśmiech.

– A teraz opowiem wam, jak się u nas rozwiązuje sprawę kierunkowości w odbieraniu dźwięków: to znaczy, żeby hydrofon dobrze odbierał tylko ten dźwięk, który pochodzi z określonego punktu. Słuchajcie...

Mechanik nie zdołał wytłumaczyć studentowi, na czym polega zasada aparatury do kierunkowego odbierania dźwięku. Jego twarz przybrała nagłą wyraz jeszcze większego skupienia i nawet obawy.

– Na pewno lak już zasechł – powiedział. – To znaczy, że możemy dalej nawijać szpulkę! A my tu siedzimy i gadamy... No, bierzmy się do roboty.

Do pracowni wszedł Władimir Iwanowicz i wskazał studentowi miejsce przy biurku.

– Czy możecie mi obliczyć napięcie na okładzinach piezoelementu takiej konfiguracji? Spójrzcie na wykres. Dostyc trudne zadanie. Nie obejdzcie się bez całek i różniczek. Weźcie też pod uwagę plezoelement takiego rodzaju. Trochę niezwykły.

– Mogę – cicho odpowiedział Misza i mimo woli spojrział w stronę Żeni, Przecież młody mechanik zaraz pomyśli: ten nowy praktykant udawał, że nie wie, co to jest piezoelement.

Ale Misza nie znał jeszcze charakteru swojego nowego kolegi. Żenia należał do tych nielicznych ludzi, którzy – skupiwszy całą uwagę na jednej sprawie – tracą na pewien czas zdolność widzenia i słyszenia wszystkiego, co jej bezpośrednio nie dotyczy.

Podczas rozmowy Miszy z inżynierem mechanik właśnie nawijał w wąskie wycięcie szpulki zwoje cieniutkiego drutu o średnicy zaledwie pięć setnych milimetra. Praca ta wymaga największej ostrożności, żeby się drut nie urwał i żeby się

układał równą warstwą. Wobec tego mechanik nie zwrócił uwagi, a raczej nie słyszał tej rozmowy.

Po przerwie obiadowej inżynier przypomniał, że zgodnie z planem dnia trzeba przeprowadzić pewne doświadczenie na morzu. Wziąwszy hydrofon jakiejś skomplikowanej konstrukcji, walizkę z przenośnym wzmacniaczem, przyrządy pomiarowe i słuchawki – Żenia i Misza wyszli z gmachu i skierowali się ku morzu szeroką aleją parku. Władimir Iwanowicz obiecał dogonić ich za chwilę, ponieważ musiał jeszcze załatwić jakąś sprawę z intendentem.

Pływacie? – poważnie zapytał mechanik, gdy podeszli do przystani, takim tonem, jakby uprzedzał: „Uwaga! Źle z wami, jeżeli nie umiecie pływać! Dzisiejsza wyprawa jest niebezpieczna, może się skończyć fatalnie...”

– A wy? – odpowiedział Misza pytaniem na pytanie.

– Nieszczególnie. Nie więcej niż dziesięć metrów bez odpoczynku – wymruczał zmieszany Żenia.

– Lubię nurkować – powiedział Misza.

Kiedy usiedli w motorówce oczekując na inżyniera, pasja popularyzatorska znowu opanowała Żenię.

– Będziemy mierzyć kierunkowość hydrofoni – powiedział tonem wyższości i zarazem tajemniczo. – A co to znaczy? To znaczy, że będziemy sprawdzać z jednej strony, czy hydrofon dobrze odbiera dźwięk w wodzie, a z drugiej – w jakim stopniu, że tak powiem, „odgradza się” od dźwięku pochodzącego z innej strony.

Dajmy na to, płynie okręt. Nadajnik wysyła w wodę sygnał dźwiękowy. Jeżeli dźwięk napotka na swojej drodze skałę podwodną albo krę, to naturalnie odbije się od niej i wróci do okrętu. Ale skąd wróci? Z której strony? Gdzie znajduje się podwodna skała, czy kra? Przed statkiem, z boku, czy z tyłu? Trzeba to określić. Czy płynąć wytkniętą drogą, czy zmienić kurs, żeby uniknąć zderzenia? Do tego właśnie używa się hydrofonów kierunkowego działania. Ustawia się je po kilka na raz poniżej linii zanurzenia. Jeden odbiera dźwięk odbity tylko z jednego kierunku, drugi – z drugiego, trzeci – z trzeciego, a może być hydrofon takiej konstrukcji, że sam podoła temu zadaniu: na specjalnym przyrządzie – czymś w rodzaju kompasu – strzałka od razu wskaże, skąd pochodzi odbity dźwięk.

Misza nie mógł powstrzymać uśmiechu. Wykład młodego mechanika podobał mu się bardzo i nie chciał dać poznać po sobie, że to wszystko dobrze wie. Pouczanie studenta w poczuciu własnej wyższości, ale jednocześnie z rzetelną chęcią wprowadzenia go w zagadnienie, sprawiało widać Żeni dużą przyjemność.

Inżynier i motorniczy podeszli do przystani. Wkrótce łódka wypłynęła na pełne morze i podskakując na falach pomknęła w kierunku, gdzie widniały na horyzoncie trzy żagle łódek rybackich.

Drobniutkie bryzgi słonej wody, błyszczące w słońcu wszystkimi kolorami tęczy, przyjemnie chłodziły twarz Miszy. Szeroki przestwór morza i wzburzona przy burcie, ja-

snozielona woda stwarzały cudowny nastrój.

„Woda, jak czas, odpływa wstecz, a my dążymy naprzód, żeby tworzyć, kształtować, budować piękne życie. I ja też jestem uczestnikiem tej twórczej pracy!” – myślał z dumą Misza.

– Jak sądzicie, Władimirze Iwanowiczu, czy dzisiaj wykończymy? – głośno zapytał Żenią. – Zmarudziliśmy z tym ostatnim hydrofonem. Po prostu wstyd.

– Warto by to dzisiaj „wykończyć”, jak mówicie – równie głośno, żeby przekrzyczeć szum wody i silnika, odpowiedział Goworkow. – Czasu mamy skąpo. Pojutrze trzeba oddać hydrofon kierownikowi laboratorium. Przykro będzie, jeżeli nie skończymy w terminie.

Gdy odpłynęli daleko i gmach Instytutu zmałał tak, że wyglądał jak zabawka, inżynier kazał wyłączyć silnik. Łódka płynęła jeszcze czas jakiś siłą bezwładności, cicho przecinając niebieskawozieloną wodę, i wreszcie stanęła, lekko kołysząc się na falach. Żenia zaczął przykręcać hydrofon do specjalnego metalowego koła sterowego, ale Misza przejął tę łatwą czynność, żeby mechanik mógł zająć się włączaniem wzmacniacza i przyrządów pomiarowych.

W ciągu paru minut przygotowano wszystko do próby – hydrofon na kole sterowym opuszczony został w wodę, koło przymocowane do burty, przyrządy ustawione na ławkach. Żenia i Misza założyli na uszy słuchawki telefoniczne.

Początkowo Misza słyszał tylko lekki szmer lamp radiowych, ale później – w miarę jak inżynier obracał czarną

gałkę z masy plastycznej, regulując w ten sposób czułość wzmacniacza – w słuchawkach odezwały się inne dźwięki, pochodzące z morza. Był to niewyraźny, huczący szum o zmiennym tonie. Ten szum powodują fale, wiecznie przelewające się po powierzchni morza nawet przy bezwietrznej pogodzie. Od czasu do czasu głośne uderzenia, w których wyraźnie słychać było plusk wody, zagłuszały miarowy szum.

– O, do licha! – nagle głośno powiedział Żenia. – Znowu chłupocze!

– Na jaką głębokość opuściliście hydrofon? – zapytał Władimir Iwanowicz.

– Trzy metry – odpowiedział mechanik.

Inżynier zaczął uważnie wpatrywać się w przyrząd pomiarowy. Strzałka drgała na nim, reagując na każde uderzenie, które rozlegało się w słuchawkach.

– Zakłócenia są mniejsze niż poprzednim razem, ale mimo to dość duże – powiedział inżynier nie spuszczać oczu ze strzałki. – Towarzyszu Sawin – zwrócił się do Miszy. – Te gwałtowne uderzenia, które słyszycie w słuchawkach, to plusk wody o burtę naszej łódki. Rozumiecie? Zakłócenia!

– To dopiero! – ciężko westchnął Żenia. – A j a się spodziewałem, że po ostatniej przeróbce wcale nie będzie zakłóceń.

– Zakłócenia zawsze będą – powiedział Władimir Iwanowicz zwracając się głównie do praktykanta. – W

zwykłych warunkach techniki hydroakustycznej takie zakłócenia można by uważać za nic nie znaczące, jeżeli się uwzględni wielką czułość badanego hydrofoni. Ale nasz hydrofon jest przeznaczony do specjalnego urządzenia i dlatego stawiamy mu większe wymagania.

– Rozumiem – odpowiedział Misza. – Kierunkowość hydrofonu jest jeszcze niezbyt wielka.

– Słusznie! – z dumą odezwał się Żenia. Prawdopodobnie uważał, że jego wykład przyczynił się w dużym stopniu do uświadomienia studenta.

– Spróbujmy skierować hydrofon w stronę tej motorówki, którą stąd widać – zaproponował Misza. – Ciekawe, czy usłyszymy szum śruby?

– Spróbujmy – zgodził się inżynier.

Żenia zaczął ostrożnie obracać koło sterowe. Wkrótce w słuchawkach odezwał się bulgocący szum. W ten sposób dźwięk pracującej śruby dotarł przez masę wodną, z odległości wielu kilometrów, do hydrofonu. Żenia próbował zmienić nieco położenie hydrofonu, przesuwając koło sterowe, ale przy najmniejszym odchyleniu dźwięk zniknął.

– Doskonała kierunkowość! – zawołał Misza z zachwytem.

– Tak, dobra – potwierdził inżynier zdejmując słuchawki. – W normalnych warunkach, powtarzam, nie pozostałoby nic więcej do życzenia. Ale dla nas taka dokładność jest jeszcze za mała. Warunki, które stawia kierownik laboratorium, są surowsze niż zwykle.

Westchnąwszy głęboko, inżynier zaczął zapisywać w notesie wyniki obserwacji.

– Co by tu można jeszcze zrobić? – mruczał Żenia, również zdejmując słuchawki. – Może jeszcze dwa reflektory wstawić? Jak sądzicie, Władimirze Iwanowiczu? – proponował.

Nagle Misza wyteżył słuch: w słuchawkach odezwał się ten sam dźwięk, który wczoraj podczas kąpieli tak go zastanowił; był słaby, prawie nieuchwytny. Misza spojrzał pytająco na inżyniera, potem na Żenię i już miał zadać pytanie. Ale inżynier zatonął w obliczeniach, a mechanik był zajęty przy jakimś przyrządzie. Misza więc nie śmiał ich niepokoić.



Bez słowa wyciągnął rękę do koła sterowego i zaczął je ostrożnie obracać. Od razu dźwięk zabrzmiał głośniej. Praktykant oderwał wzrok od podziałki limbusa* i spojrzał na morze, skąd – według wskazówki przyrządu – pochodził dźwięk. Zobaczył w dali biały kuter płynący pełną parą do brzegu, ten sam kuter, na który wczoraj podczas kąpieli

zwróciła uwagę Luda. Niewątpliwie dźwięk pochodził stamtąd.

– Uwaga, towarzysze! – głośno zaczął inżynier stukając nerwowo ołówkiem o notes. – Posłuchajcie!

** L i m b u s – koło poziome u podstawy przrzędu z podziałką na 360 stopni.*

Misza musiał zdjąć słuchawki.

– Sytuacja jest przykra – powiedział inżynier. – Dzisiejsza próba jasno wskazuje, że pozostają jeszcze dwie drogi zmniejszenia zakłóceń w hydrofonie. Pierwszy, a zarazem najbardziej skuteczny sposób to montaż nowego hydrofonu z mocniejszymi reflektorami, drugi – to przeróbka istniejącego już hydrofonu. Niestety, pierwsza droga jest nierealna: mamy dwa dni do dyspozycji, w tak krótkim czasie, mimo najlepszych chęci, nie zdążymy zmontować nowego hydrofonu. Pozostaje drugi sposób: przeróbka tego. Też – muszę przyznać – niełatwe zadanie ze względu na brak czasu. Jutro trzeba będzie wyteńczyć wszystkie siły, żeby temu podołać.

Inżynier skończył i uważnie spojrział na słuchaczy.

– A może poprosić dyrekcję Instytutu o przydzielenie ludzi do pomocy? – odezwał się Misza nieśmiało.

Inżynier zasępił się.

– Nie orientujecie się jeszcze w sprawach Instytutu, a także i naszego laboratorium L-3 – powiedział wyjmując papierosa i zapalając go. – Teraz mamy koniec kwartału. Większość laboratoriów podsumowuje wyniki. Wszyscy się spieszą. Zabrać ludzi to znaczy oderwać ich od innych zajęć, również terminowych i odpowiedzialnych. Iść do kierownika laboratorium z taką prośbą – to przyznać się, że źle pracowaliśmy!

Władimir Iwanowicz rzucił w wodę nie dopalonego papierosa, zamyślił się, a po chwili znów sięgnął po papiero-

śnicę.

– Zrobimy, Władimirze Iwanowiczu... Zrobimy wszystko jak należy... – powiedział Żenia. – Można składać przyrządy?

– Tak, wracajmy – odpowiedział inżynier chowając papierosnicę do kieszeni.

W czasie powrotnej drogi Misza miał wielką ochotę zapytać o dźwięk usłyszany w hydrofonie i o biały kuter, który z całą pewnością powodował powstawanie tego dźwięku. Ale brzmiały mu wciąż w uszach słowa inżyniera: „Nie orientujecie się jeszcze w sprawach nie tylko Instytutu, ale nawet naszego L-3“. A jeżeli na pytanie Miszy inżynier odpowie: „Zbyteczna ciekawość nie świadczy o was dobrze, młody człowieku. Pracujecie w tajnym laboratorium. Dowiedziecie się tego w odpowiednim czasie...“?

Inżynier zaraz po próbie poszedł na naradę produkcyjną, a Misza wrócił razem z Żenią do laboratorium. Praktykant zauważył dziwną przemianę w Żeni, w jego ruchach i w całym zachowaniu. Chodząc po pokoju, mechanik rzucał na stoły laboratoryjne, zastawione przyrządami i instrumentami, takie stanowcze spojrzenia, że przypominał wodza, który zamierza wydać rozkaz do ataku.

– Tak – mruczał – dwa komplety mamy, trzeci pożyczysz się od sąsiadów... Żeby tylko nie zapomnieć o aluminiowej płytce. Tak! I wiertła! Dobrze, że przypomniałem sobie o wiertłach.

Potem podszedł do małej tokarki stojącej w kącie, pogładził jej lakierowaną powierzchnię, patrząc przy tym w okno.

— Towarzyszu Sawin! — powiedział cicho, zwracając się nagle do Miszy. — To poważna sprawa... Coś takiego... — Podszedł do studenta, jakby zamierzał wyznać mu straszliwą tajemnicę. — Dziś wieczorem... — mechanik podejrzliwie spojrzął na zamknięte drzwi — dziś wieczorem, a może i w nocy...

Gdyby Misza nie znał obyczajów młodzieńca, to mógłby przypuszczać, że tej nocy można się spodziewać podpalenia Instytutu, morderstwa albo straszliwego wybuchu czy czegoś w tym rodzaju. Ale Misza już dawno domyślił się, o co chodzi.

— ...będziemy pracowali — dodał spokojnie.

—Właśnie — z ponurą determinacją powiedział Żenia. — I będziemy pracowali aż do zwycięstwa... — dodał po krótkiej pauzie.

— No, a Władimir Iwanowicz? Jeżeli nie będzie mógł zostać z nami?

—Obejdzie się bez niego — cicho odpowiedział mechanik.— Rysunki i obliczenia są: leżą w prawej szufladzie biurka.

Żenia spojrzął przy tym na biurko, jakby leżała tam bomba zegarowa.

— Władimir Iwanowicz jest doskonałym inżynierem, ale ręce ma niezbyt zgrabne. Przeszkadzałby tylko. A wy — to co

innego. Widziałem, jak operujecie instrumentami, jestem z całym uznaniem. A więc macie godzinkę wolną. Ja muszę pobiec tu i ówdzie i wszystko zorganizować.

Misza spojrział na zegarek. Zbliżał się termin umówionego spotkania z Ludą.

Tego ranka wybrał się na morze bez czapki, jak to czynią stali mieszkańcy wybrzeża, i widocznie dlatego rozboleła go głowa. Miał więc ogromną ochotę pójść do hotelu i odpocząć, ale przewyciężył się. Niegrzecznie byłoby zrobić zawód koleżance.

Wyszedł do parku i skierował się w stronę głównej alei. Na ławce pod olbrzymim platanem siedziała Luda i czytała książkę.

Poza innymi cechami odznaczacie się jeszcze niepunktualnością – powiedziała przy powitaniu.

– A wy – zbyteczną złośliwością – odpowiedział Misza jak najbardziej uszczypliwym tonem.

Od pamiętnej rozmowy na plaży wciąż docinali sobie nawzajem.

Zaczęła się wymiana wrażeń. Luda opowiedziała, że brała udział w montowaniu urządzenia z rurą katodową o dużych wymiarach.

– Coś w rodzaju telewizora z ekranem o półmetrowej szerokości. Nie rozumiem, jakie zastosowanie może mieć w laboratorium, które się zajmuje dźwiękiem i ultradźwiękiem, urządzenie związane z przekazywaniem obrazów...

Misza z zachwytem mówił o swoim oddziale i o swoich

nowych kolegach. Udało mu się tak barwnie odmalować słowami postać Żeni, że Luda długo się śmiała.

W końcu Misza z uroczystą miną oświadczył, że dziś wieczorem, a może nawet w nocy, zamierza pracować z Żenią, żeby pomóc w wykonaniu pewnego odpowiedzialnego zadania. Przy okazji, niby niechcący, wtrącił, że boli go głowa z powodu zbyt silnego słońca i że trudno mu będzie pracować w tych warunkach.

— Uważacie się za bohatera? — zapytała Luda z uśmiechem.

— A choćby! Czyż to nie jest pewnego rodzaju bohaterstwo? — odpowiedział Misza i dla większego efektu dotknął ręką czoła. — Nie jestem obowiązany pracować wieczorem i w nocy, nikt mi nie każe, a przecież idę, jak widzicie, chociaż jestem chory. A może sądzicie, że należy odmówić, żeby nie udawać bohatera?

— Nie, nie — powiedziała Luda poważniejąc. — Idźcie, pracujcie i nie pokazujcie mi się na oczy, jeżeli zostawicie mechanika bez pomocy. Słyszycie? Ból głowy... Przecież to po prostu wstyd w waszym wieku... Tak, a ja zapomniałam wam powiedzieć! — nagle zawołała Luda. — Przypadkiem widziałam dzisiaj tego dziwnego człowieka, z którym poznaliśmy się wtedy na plaży. I wiecie jak? Przez okno laboratorium. Widzę: podchodzi do przystani Instytutu biały kuter, ten sam, który podziwiałam wczoraj podczas kąpieli. I wyobraźcie sobie — z kutra na brzeg schodzi jakaś znajoma postać. Przyglądam się: ten sam. A potem widziałam, jak

szedł z kilkoma osobami wzdłuż tej alei, gdzie teraz siedzimy.

– Hm – mruknął Misza przypomniawszy sobie dziwny dźwięk, który dziś znowu słyszał przez hydrofon zanurzony w wodzie i nawet zdołał ustalić, że ten dźwięk pochodzi z białego kutra.

– On pewno pracuje w naszym Instytucie – w zamyśleniu mówiła dalej Luda. – Teraz już nie wątpię, że się z nim zaznajomimy bliżej.

– Kto „my“? – możliwie najbardziej obojętnym tonem zapytał Misza.

– My – ja i wy! My oboje! Przecież to jest bardzo interesujący człowiek.

– Tak, rzeczywiście...– mruknął Misza z zakłopotaniem i zaczął się uważnie przyglądać wskazówkom swojego zegarka. – Właściwie czas na mnie.

– To idźcie – przynagliła go dziewczyna. – I pamiętajcie – żadnego bólu głowy.

W laboratorium Misza zastał Władimira Iwanowicza.

– Po co przyszliście? – zapytał inżynier. – Praca na dziś skończona.

– Umówiliśmy się z Żenią, że trochę popracujemy wieczorem – odpowiedział Misza.

– Wiem, co o tym sądzić – uśmiechnął się inżynier. – Znam obyczaje naszego kochanego Żeni – dodał podchodząc do szafy i wyjmując z niej granatowy fartuch roboczy.

Wkrótce zjawił się Żenia obładowany różnymi częściami

przyrządów i zdyszany widocznie od biegu po schodach.

— Uff — powiedział składając na stole swój ładunek. — Ramę poprawili mi w dziale mechanicznym poza kolejką. Wy tłumaczyłem majstrowi, o co chodzi. A tę podstawę pożyczyłem w L-8.

— A po co nam podstawa? — zdziwił się inżynier. — Przecież nie będziemy robili nowego hydroforni. Nie zdążymy mimo najlepszych chęci. Byle tylko nadążyć z przeróbką tamtego.

— Na wszelki wypadek... — tajemniczo oświadczył Żenia. — Podstawa zawsze się przyda...

* *

*

Robota szła dobrze. Misza musiał podziwiać ręce Żeni, szybkie i zręczne. Młody mechanik nadzwyczaj racjonalnie planował swoje ruchy. Na przykład kiedy prawa ręka dokręcała śrubkę, lewa już sięgała po młotek. Przechodząc koło stołu, przy okazji szybko układał narzędzia w kolejności korzystnej dla dalszej pracy.

Inżynier pomagał, jak mógł. Ale Misza zauważył, że mechanik nie bardzo mu dowierza — sprawdzał każdą bez wyjątku śrubkę wkręconą przez inżyniera.

Ból głowy bardzo dokuczał Miszy — miał uczucie, że czaszka pęka mu na kawałki, ale panował nad sobą i nadrabiał miną.

Od dzieciństwa lubił zajęcia związane z mechaniką. Będąc małym chłopcem z zapałem wycinał z dykty piłką różne drobiazgi, które ofiarowywał matce albo siostrze. Potem był zawziętym radioamatorem, wciąż budował radioodbiorniki, po cząwszy od najprostszych detektorków, a kończąc na wielolampowych aparatach. Dlatego z łatwością opanował prace techniczne w warsztatach i na uczelni.

Żenia, zadowolony z Miszy, powierzał mu coraz trudniejsze czynności. Misza był bardzo dumny z tego, nie wiadomo dlaczego myślał przy tym o Ludzie: „Zobaczyłaby, jak ja tu sobie daję radę z pracą mechanika! Przekonałaby się, że będę takim inżynierem, który może sam pokazać, jak się co robi, a w razie potrzeby nawet zastąpić mechanika, ślusarza, montera...”

Inżynier zdjął fartuch i znużony usiadł przy biurku,

– Idźcie do domu – poradził Żenia.

– Nie, poczekam. Widzę, że skończycie o wiele wcześniej, niż przypuszczałem. Po prostu zadziwiające!

Rzeczywiście robota zbliżała się ku końcowi. Mimo że do północy zostawało jeszcze czterdzieści minut, na biurku Władimira Iwanowicza stał przerobiony hydrofon.

– Po prostu zdumiewające! – mówił inżynier, uważnie oglądając aparat. – Macie złote ręce, Żenia.

– Nasza szkoła rzemieślnicza była najlepsza... – skromnie „usprawiedliwiał się” mechanik. – Uczył nas Wasilij Kuźmicz. Może słyszeliście o nim? Potem książkę napisał. A czym nas chwycił za serce? Przykładem i dobro-

cią! Majster z niego znakomity. Wszyscy marzyliśmy o tym, żeby dojść do takiej doskonałości w zawodzie.

– I wy bardzo dobrze operujecie narzędziami – pochwalił inżynier Miszę.

– Radioamatorstwo jest wyśmienitą szkołą – odpowiedział Misza. I dodał zaraz: – Gdyby mnie nie bolała głowa, to mógłbym jeszcze lepiej pracować.

– To idźcie prędzej do domu! – zaniepokoił się inżynier. – Chociaż nie, poczekajcie. Obejdzie się bez apteki, zajdźcie do mnie na chwilkę. Wiem z pewnością, że w domu znajdują się tabletki.

W tej chwili Misza poczuł, że Żenia lekko trącił go w bok. Obejrzał się nieznacznie i z twarzy młodego mechanika jasno wyczytał prośbę: „Nie odchodź, jest robota...”

– Dziękuję – wymamrotał Misza zwracając się do inżyniera. – Właściwie głowa mnie już nie boli. Zostanę w laboratorium, żeby pomóc Żeni posprzątać.

– To i ja zostanę – powiedział inżynier.

– Nie warto, Władimirze Iwanowiczu. Wam jako przełożonemu nawet nie wypada zajmować się sprzątaniami. My to prędziutko zrobimy – zaniepokoił się Żenia.

– No, jak chcecie – zgodził się inżynier. – Jeszcze raz dziękuję, towarzysze. Uratowaliście sytuację. Jutro rano bez pośpiechu zrobimy próbę na morzu i jeszcze mamy czas na jakieś poprawki, jeżeli zajdzie potrzeba.

– Dlaczego zatrzymaliście mnie? – zapytał Misza me-

chanika, gdy zamknęły się drzwi za inżynierem.

– Czy was rzeczywiście boli głowa? – zapytał Żenia takim tonem, jakby pytał: umieracie, czy nie umieracie?

– Boli.

– No to nie ma mowy o niczym – zasępił się mechanik.

– A o co chodzi?

– Chodzi o to, że ja tu namówiłem paru chłopaków... Powiedzcie sami, jaka jest nasza sytuacja? Dobrze, jeżeli ten hydrofon po przeróbce będzie działał prawidłowo. A jeżeli kierunkowość przy próbie znów będzie niedostateczna? Co wtedy? Jednym słowem, powtarzam, jeżeli zabrać się jak należy... a to chłopaki bojowe... z tej samej szkoły rzemieślniczej.

– Czy chcecie zmontować nowy hydrofon? – zdziwił się Misza. – W ciągu jednej nocy to chyba niemożliwe!

– Słusznie powiedzieliście „chyba“. A ja na to patrzę inaczej: nic niemożliwego w dzisiejszej naszej rzeczywistości nie ma. Zechcę, na przykład, być inżynierem – będę! Zechcę być doktorem – będę! A teraz chcę zmontować nowy hydrofon... O co chodzi? Obliczenia są. Wszystkie części przygotowane, to i owo wyostałem z sąsiednich laboratoriów.

– To wszystko zaczyna mi się podobać – szczerze przyznał Misza.

– Widzicie! – ucieszył się mechanik. – Nawet jeżeli, dajmy na to, przerobiony hydrofon będzie dobrze działał... A może ten nowy będzie jeszcze lepszy! Chyba warto po-

pracować w nocy, żeby zrobić przyjemność Wasilijowi Iwanowiczowi. A jego praca, jeśli chodzi o ważność zagadnienia, to...

Mechanik urwał, widocznie zabrakło mu wyrazu, charakteryzującego we właściwy sposób znaczenie zagadnienia.

– Kto to jest Wasilij Iwanowicz? – zapytał Misza.

– Nadzwyczajny człowiek... – wyszeptał Żenia. – Kierownik naszego laboratorium.

– Niestety, znam tylko zastępcę kierownika – odpowiedział Misza i zaraz dodał: – Załatwione! Zostaję z wami.

– W takim razie dam wam małą robótkę, szkoda każdej sekundy, a sam pobiegnę po chłopaków.

W dwadzieścia minut potem Żenia wrócił w towarzystwie dwóch młodzieńców ubranych, podobnie jak on, w kombinезony z mnóstwem błyskawicznych zamków.

– Poznajcie się – rzekł popychając chłopców w stronę Miszy. – Nikołaj Nikołajew i Siergiej Sorokopudow, moi towarzysze z Komsomołu i ze szkoły – przedstawił przybyłych.

Zanim zdążyli przywitać się, Żenia wystąpił na środek pokoju, powiódł wzrokiem dokoła, jakby się chciał upewnić, że wszystko w porządku, i nagle głośno oznajmił urywanym głosem:

– Chłopcy! Pokażemy pierwszorzędną robotę na cześć naszej szkoły rzemieślniczej. Machniemy to, aż się gorąco zrobi! Pokażemy naszemu nowemu towarzyszowi-studentowi, przyszłemu inżynierowi, co potrafią sprawne ręce!

A potem zaczął bardzo zręcznie i szybko wytańcowywać „czeczotkę”. Misza nigdy by nie pomyślał, że ten wyjątkowo poważny i zawsze skupiony chłopiec potrafi tak tańczyć.

— To mu się zdarza czasami przed jakąś pilną robotą — wyjaśnił z uśmiechem jeden z komsomolców. — On to nazywa „gimnastyką dla nabrania rozpędu”...

* *
*

Wszyscy wiemy, że podczas Wielkiej Wojny Narodowej olbrzymie fabryki, ewakuowane na głębokie tyły, były montowane i uruchamiane w ciągu miesiąca albo dwóch zamiast normalnego terminu dziesięciu czy piętnastu miesięcy. Wola ludzi ożywionych wiarą w zwycięstwo czyni cuda.

Dlatego nie było w tym nic wyjątkowego, że trzech młodzi mechanicy zmontowali razem z praktykantem Miszą bardzo skomplikowany hydrofon nowej konstrukcji w ciągu jednej nocy zamiast pracować przy tym co najmniej pięć dni.

Udział studenta-praktykanta w tej nocnej pracy przydał się bardzo. Na krótko przed zakończeniem montażu okazało się nagle, że w wykresach są jakieś niejasności. Misza odłożył trójkątny pilnik, wziął suwak logarytmiczny i szybko wprowadził poprawkę.

Postanowiono schować nowy hydrofon do szafy, zabrać go na morze bez wiedzy inżyniera i pokazać dopiero po

próbie starego hydrofonu.

Tak też zrobiono.

Okazało się, że stary hydrofon działa znacznie lepiej niż poprzednio. Jego kierunkowość odbierania dźwięków wzrosła. Zakłócenia, w danym wypadku pluski wody o burtę łódki, odzywały się w słuchawkach ciszej niż poprzednio, a strzałka przyrządu mierzącego siłę dźwięku wahała się nieznacznie. Inżynier obliczył, że teraz hydrofon prawie odpowiada warunkom postawionym przez kierownika laboratorium. Różnice między żądanymi warunkami technicznymi a otrzymanym rezultatem były niewielkie i można ich było nie brać pod uwagę.

Inżynier gorąco podziękował mechanikowi i praktykantowi i polecił im składać przyrządy. Jakież było jego zdziwienie, kiedy Żenia oglądając się dokoła, jakby dla sprawdzenia, czy na morzu nie ma postronnych świadków, niespodzianie zapytał:

— A co sądzicie o tym, Władimirze Iwanowiczu, żeby... na wszelki wypadek, oczywiście... spróbować, jak działa jeszcze jeden hydrofon? Może będzie lepszy?

— Jaki hydrofon? — zdziwił się inżynier.

— Na przykład ten! — odpowiedział mechanik i zaczął rozwijać paczkę, która leżała obok niego na ławce. — Świeżo zmontowany według nowych obliczeń.

— Nic nie rozumiem... — mruknął inżynier biorąc z rąk Żeni nowiutki przyrząd ze starannie wyczyszczonymi mosiężnymi częściami. — Skąd go wzięliście? Co to znaczy?

– Nauka wymaga ofiar – oświadczył surowo mechanik mrugając przy tym chytrze. – Zaprosiłem do pomocy dwóch kolegów, którzy pracują w warsztacie mechanicznym ósmego laboratorium. To moi koledzy ze szkoły. Towarzysz Sawin też wziął w tym udział, a on ma ręce nie od parady!... Właśnie mówiliśmy z kolegami, że gdyby on był w naszej szkole, to...

– Nie gadajcie! – nie wytrzymał inżynier. – Jeżeli chcecie powiedzieć, że zrobiliście nowy hydrofon w ciągu jednej nocy, to i tak nie uwierzę.

– Mimo wszystko, tak było rzeczywiście – odparł Misza.

Natychmiast przymocowano nowy hydrofon do koła sterowego. Od razu okazało się, że pracuje lepiej niż poprzedni. W słuchawkach prawie nie było słychać plusków wody o burtę łódki. Przyrządy pomiarowe wykazywały, że kierunkowość znacznie przekracza żądaną normę. Próba trwała długo. Inżynier zmieniał warunki doświadczenia chcąc jak najdokładniej zbadać możliwości przyrządu. Dopiero pod koniec dnia postanowił przerwać próby i kazał wracać na ląd.

Mimo nie przespanej nocy Misza nie odczuwał senności. Ból głowy minął bez lekarstw. Natomiast opanowało go radosne podniecenie. Oto jest uczestnikiem wielkiego czynu! To prawdziwy przykład bohaterskiej pracy. Ludzie sami, nie proszeni przez nikogo, pozostali na noc, by przyspieszyć i udoskonalić pracę naukowo-badawczą! Był

chory, czuł się bardzo źle, ale nie poszedł spać, został w laboratorium i pracował ze wszystkich sił. Czyż to nie bohaterstwo? Na małą skalę, ale w każdym razie bohaterstwo. I oto wynik: hydrofon zmontowany w nocy, z jego bezpośrednim udziałem, pracuje doskonale.

Wszystkie te myśli nieustannie zaprzętały Miszę. Toteż po pracy, spotkawszy się w parku z Ludą, powiedział przede wszystkim:

– Wyobraźcie sobie, Luda, jakie przeżywam niezwykle uczucie! Teraz zaczynam naprawdę rozumieć, ile radości może dać w naszym kraju ofiarna praca.

Luda uważnie spojrzała na towarzysza.

– Wyglądacie na chorego. Twarz blada, sińce pod oczami – zauważyła z niepokojem, siadając na ławce.

– To głupstwo. Głowa mnie bolała i nie spałem ani minuty, ale za to... – Misza dumnie podniósł głowę. – A jacy to wspaniali chłopcy! Sami! Rozumiecie? Sami podjęli się pracować w nocy, i to jak pracować! W ciągu nocy zrobili to, co normalnie robi się w ciągu trzech czy pięciu dni!

I zaczął z zapalem opowiadać o Żeni, o jego kolegach, o nocnej pracy i cudownych wynikach.

* *

*

Przyszedłszy do laboratorium następnego ranka, Misza zauważył od razu, że mechanik ma jakieś zmartwienie. Że-

nia zaraz po przywitaniu powiedział ponurym szeptem:

– Słyszeliście o wynikach wczorajszych prób? Znowu coś nie wyszło.

– Co nie wyszło? – zapytał Misza. Trwożny szept mechanika podziałał na niego przygnębiająco.

– I nasze hydrofony nie pomogły – mówił dalej mechanik.

Misza wiedział, że poprzedniego wieczora odbywała się generalna próba obiektu technicznego, nad którym pracowało L-3. Domyślił się więc, o czym mowa.

– Czy zawiódł nasz hydrofon? – zapytał zasiadając do dalszych obliczeń piezoelementu nowej konstrukcji.

– Co to, to nie! – zaprzeczył Żenia. – Nasz hydrofon działał bez zarzutu, to jest tak, jak powinien działać. Nie o to chodzi. Tam coś nie pasuje. Dobrze nie wiem co, ale nie pasuje. Przykra sprawa!

– Naturalnie – zgodził się Misza.

– Ciężko jest pracować Wasilijowi Iwanowiczowi... Bardzo trudno! Inny kierownik na jego miejscu dawno by się do trumny położył – dodał Żenia wymawiając słowo „trumna” z jakimś szczególnie grobowym akcentem.

Władimir Iwanowicz przyszedł także bardzo zmartwiony. Przywitał się i zaczął chodzić po pokoju w milczeniu, zatrzymując się od czasu do czasu, żeby rzucić zatroskane spojrzenie na jaskrawobłękitną smugę morza za oknem.

– Żenia! – zwrócił się do mechanika, zatrzymując się przy jego stole. – Za chwilę przyjdzie do nas Wasilij Iwa-

nowicz. Chciałbym mu zakomunikować o waszej ofiarnej pracy przy hydrofonie, właśnie w waszej obecności. Spiszcie nazwiska towarzyszy, którzy brali w tym udział, żebym się nie pomylił w meldunku. Rozumiecie?

Misza poczuł radosne uderzenie serca. Wyobraził sobie, jak kierownik laboratorium będzie mu wyrażał podziękowanie, uściśnie jego dłoni. Z pewnością Władimir Iwanowicz nie omieszka zaznaczyć, że praktykant pozostał przy pracy nocą, chociaż był chory...

Ale wszystko przybrało inny obrót.

– Władimirze Iwanowiczu – powiedział mechanik wstając z krzesła z lutownicą w ręku. – Tak sobie myślę... Czy warto mówić o tym? Jakby to powiedzieć... Towarzysz Buranow ma zmartwienie: próby się nie udały, spotkało go niepowodzenie, a my się będziemy chwaliли powodzeniem, naszymi osiągnięciami. To jakoś nie w porę... Będzie pewnie mowa o dalszym planie pracy, o poważnych sprawach, a my będziemy rozpraszali jego uwagę na drobiazgi...

Inżynier znów zaczął chodzić po pokoju.

„Przecież mechanik ma rację – przemknęło przez głowę Miszy. – Jaki to wspaniały chłop!”

– Żenia słusznie mówi – powiedział ze wzruszeniem.

Inżynier stanął i spróbował się uśmiechnąć, ale wypadło to nienaturalnie. Widocznie zanadto był zmartwiony.

– Niech będzie, jak chcecie – powiedział kierując się ku wyjściu.

Nagle na progu ukazał się człowiek, którego Misza widział na plaży.

– Witajcie – powiedział cicho, wchodząc. – Dawno u was nie byłem. Po prostu zapomniałem o waszym istnieniu. Nie gniewajcie się, Władimirze Iwanowiczu. Niestety, tak się zdarza, że jeżeli na jakimś odcinku wszystko idzie pomyślnie, to się na niego mniej zwraca uwagi.

– To całkiem naturalne, Wasiliju Iwanowiczu – odpowiedział inżynier.

Asystent, towarzyszący kierownikowi laboratorium, ostrożnie podprowadził go do stołu.

– Właściwie niezupełnie naturalne – zaprotestował Wasilij Iwanowicz siadając na krześle. – Właśnie dlatego, że u was nie byłem, musieliście wykonać dodatkową pracę.

– Nie rozumiem, o jakiej dodatkowej pracy mówicie? – zaniepokoił się inżynier.

– Zaraz wam wytłumaczę... To wina mojego wzroku – nie inaczej... Wyobraźcie sobie, że przeglądając wykresy, dotyczące ostatniego wariantu, przeoczyłem pewną okoliczność. Nowy wariant przecież pozwala na zastosowanie hydrofonu ze zmniejszoną kierunkowością! Rozumiecie? A ja przeciwnie, żądałem zwiększonej!

– Ale zwiększona kierunkowość, o ile rozumiem, nigdy nie zaszkodzi? – zauważył inżynier.

– Bardzo słusznie, nie zaszkodzi. Ale ja was obarczyłem dodatkową pracą. Wysilaliście się, łamaliście głowy nad tym i nawet w nocy pracowaliście.

– Nie pracowałem w nocy... – powiedział zmieszany inżynier. – Niedokładnie was poinformowano. Za to mechanik Dubin, nasz nowy praktykant Sawin i dwaj mechanicy z L-8 – ci rzeczywiście w ciągu nocy zmontowali ostatni wariant hydrofonu... Przy okazji muszę wam przedstawić towarzysza Sawina. Jeszcze was nie widział.

Misza podszedł do stołu. Kierownik laboratorium zwrócił głowę w jego stronę i wyciągnął rękę. Widać było napięcie w jego twarzy – usiłował zobaczyć praktykanta.

– Przecież my się znamy! – powiedział szczerze uradowany, ściskając rękę młodzieńca. – Pamiętacie? Na plaży. Podczas przerwy obiadowej często spaceruję nad morzem. Te przechadzki pozwalają mi zebrać myśli, skupić się. Bardzo mi miło... A ja sądziłem, że przyjechaliście tu na wakacje...

– Nie, do pracy. I koleżanka, która tam wtedy była, też przyjechała do was na praktykę – odpowiedział Misza przypomniawszy sobie nagle Ludę.

– Koleżanka z tej samej uczelni?

– Nie, z innej. Przypadkiem spotkaliśmy się w autobusie.

– A zatem, Władimirze Iwanowiczu – kierownik laboratorium zwrócił się do inżyniera – wybaczcie mi. Wynikło nieporozumienie, i to z mojej winy. A teraz zastanówmy się nad dalszą pracą.

Asystent w granatowym fartuchu rozwinął i położył na stole duży wykres na sztywnym papierze, który wciąż upar-

cie zwiijał się w rulon.

Misza wrócił do swojego stołu i ze zdziwieniem obserwował, jak kierownik laboratorium tłumaczył istotę schematu, wodząc palcem po wykresie. Niekiedy mylił się i pokazywał inne miejsce na rysunku niż to, o którym mówił.

„Po co to wszystko? – nagle przyszło do głowy Miszy. – Dlaczego prawie ślepy człowiek kieruje pracami? Nie brak przecież zdrowych inżynierów, którzy mogliby go zastąpić. Trudno mu pracować i to się odbija na wynikach. A praca przede wszystkim! Niech się kuruje, a nie zajmuje robotą, która wymaga takiego wysiłku i naturalnie nie sprzyja leczeniu”.

Wkrótce Misza, jakby przypadkiem, otrzymał potwierdzenie swojej opinii.

– Powinniście odpocząć – usłyszał słowa inżyniera, zwrócone do kierownika po omówieniu schematu. – Tak nie można. Tyle czasu bez odpoczynku! Wyężana praca nie pozwala wam leczyć się, jak należy.

– To nic, na wszystko przyjdzie czas... A żadna kuracja mi nie pomoże! Lekarze mówią, że potrzeba mi zupełnego spokoju. A jaki może być spokój, kiedy robota nie idzie? Gdy zakończymy pracę, to co innego.

„Dziwny człowiek” – pomyślał Misza, kiedy kierownik pożegnał się i wyszedł razem z Władimirem Iwanowiczem.

– Tak... Takie sprawy... – ponuro mruknął Żenia odłożywszy lutownicę i obracając się razem z krzesłem do praktykanta. – Szkoda... Wielka szkoda...

– Że na próżno pracowaliśmy? – zapytał Misza.

– Nie. Co znowu? – zdziwił się tamten. – W pracy doświadczalnej bez tego się nie obejdzie. Zrobi się coś, a potem się okazuje, że to było zupełnie zbyteczne. Jakby wszystko było z góry wiadome, to i eksperymenty nie byłyby potrzebne. Od razu można by budować aparaty. Mówię o czym innym: szkoda, że wczorajsze próby się nie udały. Przecież spodziewaliśmy się, jak to się mówi, zwycięskiego zakończenia akcji. Wtedy Wasilij Iwanowicz mógłby odpocząć i podleczyć swój wzrok. Widzicie przecież, jaki on jest...

– Rzeczywiście... – nieokreślonym tonem powiedział Misza. – Powiedzcie, Żenia – zwrócił się do mechanika – jeżeli to nie jest tajemnicą i nie sprzeciwia się regulaminowi, nad czym pracuje nasze laboratorium?

Mechanik spojrział z ukosa na drzwi i odpowiedział stłumionym głosem:

– Nad wzrokiem...

– Jak to? Nad jakim wzrokiem?

Ale Żenia zrobił jeszcze bardziej tajemniczą minę, a potem uśmiechnął się chytrze, jakby mówiąc: „Za wcześniej interesujesz się wszystkim, dopiero od czterech dni tu pracujesz. Laboratorium jest tajne. Nie gniewaj się. Inżynier wprowadzi cię we wszystkie sprawy, jeśli to uzna za słuszne”.

* *

*

Misza spotkał się z Ludą zaraz po pracy przy bramie Instytutu.

Dziewczyna powitała go wyjątkowo radośnie. Zobaczywszy studenta pobiegła na jego spotkanie po piaszczystej ścieżce, wołając wesoło:

– Nareszcie! Czekam na was od dziesięciu minut! Jak można...

Postanowili pójść na spacer wzdłuż brzegu morskiego do skał, które z daleka wydawały się jakby zanurzone w niebieskim oparze.

– Miałam bardzo ciekawą robotę – zaczęła Luda z przejęciem. – Wyobraźcie sobie... Na przyrządzie, o którym wam mówiłam, można odbierać obrazy jak na telewizorze. To właściwie jest telewizor przeznaczony do specjalnych celów... Dlaczego jesteście niezadowoleni? – zawołała nagle, zauważywszy ponury wyraz twarzy swego towarzysza.

– Nic takiego... – odpowiedział Misza.

W milczeniu wyszli za bramę Instytutu.

– Może jesteście niezadowoleni, że was oderwałam od terminowej pracy? Pewno znowu mieliście jakąś pilną robotę?

– Nie, nie...

– W takim razie – mówiła dziewczyna ciszej – pewno nie chcieliście wcale ze mną rozmawiać i przyszliście tylko po to, żeby dotrzymać słowa.

– Co znowu! – zachnął się Misza. – Skąd wam to przyszło do głowy? Ja, wiecie... – Misza zmieszał się i zaczął miętosić w rękach czapkę. – Przecież ja bardzo często myślę o was.

– To cudownie... – szepnęła Luda także zmieszana. – Ja też... Właśnie dzisiaj był u nas kierownik laboratorium. Jak na niego spojrzałam, zaraz pomyślałam o was. Wiecie, kto jest kierownikiem laboratorium? Człowiek, którego spotkaliśmy nad morzem. Pamiętacie?

– Pamiętam i wiem, że on jest kierownikiem – odpowiedział Misza nachmurzony, wkładając czapkę.

– Przecież mówiłam, że to bardzo interesujący człowiek! – ciągnęła Luda. – Gdybyście wiedzieli, jaki on jest sympatyczny, jak rozmawia z pracownikami, jak go wszyscy lubią...

– Wiem i o tym – mruknął Misza.

– A dlaczego jesteście źli?

– Wyobraźcie sobie, Luda... – zaczął Misza zdejmując z głowy czapkę, którą włożył przed chwilą, i wymachując nią w powietrzu. – Wyobraźcie sobie, że wykonaliście jakąś robotę. Powiedzieli wam, że to bardzo odpowiedzialna sprawa. Pracujecie nie szcędząc sił. Pracujecie w nocy! Jakie radosne uczucie przeżywacie, kiedy zdołaliście wykonać zadanie! A potem mówią wam, że praca i całe wasze poświęcenie okazały się zbyteczne. Zaszła omyłka, ta robota wcale nie była potrzebna... Przyjemnie by wam było?

– Nie, nieprzyjemnie – odpowiedziała Luda z waha-

niem.

– Właśnie ze mną zdarzyło się coś takiego. Dziś rano okazało się, że niepotrzebnie montowaliśmy nowy hydrofon. Na próżno siedziałem całą noc w laboratorium, na próżno wysilałem się, przewyciężając piekielny ból głowy – skończył Misza kładąc nacisk na słowo „piekielny”.

– Biedny, żal mi was! – ze szczerym współczuciem powiedziała dziewczyna.

– I wiecie, kto temu winien? Wasz Wasilij Iwanowicz! – dodał gniewnie Misza.

Potem zaczął opowiadać szczegółowo. Wyraził opinię, że ślepy inżynier nie ma prawa kierować tak odpowiedzialną placówką. To szkodzi sprawie. Stąd powstała omyłka z hydrofonem. Stąd pochodzi niepowodzenie wczorajszej próby, o której Luda naturalnie musiała słyszeć.

– Czyż nie znalazłoby się dość zdrowych inżynierów, którzy mogliby zastąpić Wasilija Iwanowicza? Czy jestem obowiązany pracować jak wół, w nocy, walcząc z bólem głowy, po to, żeby się przekonać, że to wszystko na nic się nie zda z powodu złego wzroku mojego kierownika?

– Poczekajcie! – przerwała mu nagle Luda. – Trzeba to wyjaśnić... Dlaczego tak uparcie, nie wiem już ile razy podkreślacie, że was tyle kosztowała ta praca, że was bolała głowa? Czy rzeczywiście jesteście pewni, że dokonaliście bohaterskiego czynu? A teraz powiedzcie: jeżeli pracuje człowiek, który traci wzrok, chyba to wymaga większego wysiłku? I nikt go przecież nie zmusza – czyż to nie boha-

terstwo? Dlaczego myślicie tylko o sobie i o swoim bólu głowy? Dlaczego nie myślicie o Wasiliju Iwanowiczu i bodaj na chwilę nie porównacie jego sytuacji ze swoją?

– Powinien się najpierw wyleczyć, a potem wrócić do pracy – odpowiedzą! zdetonowany Misza.

– To znaczy, że według was nie należało pomagać kolegom w nocnej pracy, tylko położyć się do łóżka i leczyć ból głowy?

– Moja choroba nikomu nie przeszkadzała.

Luda zawróciła energicznie na znak, że zamierza przerwać przechadzkę i pójść do domu.

– Luda! – zawołał Misza przejęty.

Odpowiedzi nie było. Dziewczyna szła z, powrotem do Instytutu.

– Luda! – mówił Misza biegnąc za nią. – Na pewno nie zrozumieliście mnie.

– Zrozumiałam – padła sucha odpowiedź.

– Jak zrozumieliście? Powiedzcie!

– Uważnie przyglądałam się wam. Nie umiem na pierwszy rzut oka określić charakteru człowieka, nie jestem jasnowidzem, za jakiego podawaliście się na początku naszej znajomości.

– Żartowałem.

– Zgoda. To nie ma nic do rzeczy. Widziałam w was dużo dobrego. Jesteście szczerym człowiekiem, rzeczywiście ofiarnym. Jesteście zdolni, będziecie niezłym inżynierem...

Szli wolno wąską ścieżką w stronę białego gmachu In-

stytutu, otoczonego zieloną wstęgą parku. Dziewczyna szła pierwsza, z podniesioną głową, ciepły wiatr muskał jej czarne włosy, lśniące w słońcu.

– Mimo że nasłuchiwałam się od was różnych złośliwości, zdawało mi się, że jesteście dla mnie życzliwi. Było mi to miłe, bo myślałam, że mam dobrego towarzysza i przyjaciela.

– To prawda! Jestem dla was ogromnie życzliwy! – potwierdził Misza próbując wyprzedzić dziewczynę i zajrzeć jej w oczy.

– Ale już dawniej podejrzewałam, że myślicie wciąż o sobie i dbacie tylko o siebie. A teraz ostatecznie przekonałam się o tym...

– Nie rozumiem...

– Nie przerywajcie, zaraz zrozumiecie. Taki drobiazg, jak pracę nocy z bólem głowy, uważacie bez mała za bohaterstwo. Powtarzaliście mi to dziesięć razy i pewno dziesięć razy opowiadalibyście o tym wszystkim znajomym. A że na pół ociemniały inżynier kieruje olbrzymim laboratorium, wcale was nie interesuje. Dlaczego? Co sprawia, że niewidomy inżynier tak postępuje? Potrafiliście tylko obrazić się na niego za jedną niepotrzebnie straconą noc.

Dziewczyna rozejrzała się, gdzieby tu można wygodnie usiąść.

– Przyjaźniłabym się z wami... gdybyście nie byli takim egoistą – powiedziała siadając na kamieniu.

Misza w milczeniu usiadł obok niej.

— Teraz posłuchajcie uważnie — ciągnęła Luda objąwszy rękami kolana. — Wyobraźcie sobie oficera marynarki w kwiecie wieku, zdrowego, pełnego sił. Jest kierownikiem służby hydroakustycznej na okręcie wojennym. I podczas wojny okręt otrzymuje zadanie bojowe: przedrzeć się przez gęsty pas nieprzyjacielskich min, żeby wyjść na pełne morze i tam rozpocząć walkę. Okręt płynie powoli, lawirując pomiędzy minami pływającymi pod powierzchnią wody. Każdy nieostrożny zwrot, każdy niewłaściwy ruch może spowodować zgubę statku i załogi. Rozumiecie, jaka była sytuacja kierownika służby hydroakustycznej? Jego przyrządy, wysyłające w wodę fale ultradźwiękowe i odbierające te fale odbite od min, pracują intensywnie. Co chwila przychodzą sygnały od niewidocznych pod wodą min...

Luda zwróciła głowę ku Miszy, jakby chciała się upewnić, czy słucha jej dość uważnie.

--- Wyobrażam sobie sytuację tego oficera. Kapitan nie widzi min i nie wie, jak prowadzić okręt. Cała odpowiedzialność za losy okrętu i załogi spoczywa na obsłudze aparatów hydro akustycznych — odpowiedział Misza domyślając się już, że chodzi o kierownika laboratorium.

— Nie tylko kapitan, ale i obsługa aparatów też nie widzi! — mówiła Luda. — Przecież oni tylko słyszą! Ich przyrządy rejestrują niewidzialny dźwięk, odbity od niewidocznych min. Otóż okręt już prawie minął pole minowe. Nagle rozlega się wybuch! Trudno powiedzieć, jak to się stało, że dno okrętu mimo wszystko zetknęło się z miną. Może jakaś

plywająca mina dogoniła okręt, a może któryś z członków obsługi pomylił się w obliczeniach? Okręt nie doznał poważnego uszkodzenia. Popłynął dalej i spełnił swoje zadanie bojowe, ale w szpitalu okrętowym wśród innych rannych znalazł się oficer, kierownik służby hydroakustycznej...

– Mówicie o Wasiliju Iwanowiczu Buranowie? – cicho spytał Misza.

– Tak, właśnie o nim... Z powodu kontuzji głowy Buranow stracił wzrok. Lekarze przepowiadali, że może go z czasem odzyskać, jeżeli będzie prowadził spokojny tryb życia. Tak się też stało. Po kilku latach wzrok powrócił, ale niezupełnie.

– Jednakże teraz bardzo źle widzi – zauważył Misza.

– Powiem wam dlaczego. Nie wolno mu zajmować się wyczerpującą pracą, a on... Jednym słowem, on, inżynier Buranow, powziął myśl zbudowania nowego aparatu hydroakustycznego. Aparatu umożliwiającego widzenie pod wodą z dużej odległości! Rozumiecie?... Widzenie!

– Żenia mówił mi, że laboratorium pracuje nad zagadnieniem widzenia. Wydało mi się to dziwne. Instytut zajmuje się dźwiękiem, cóż to ma wspólnego z widzeniem?

– Inżynier usilnie pracował nad wynalazkiem. Wyłaniały się różne przeszkody. Przewycięzał je kolejno. Wreszcie otrzymał laboratorium, gdzie mógł urzeczywistnić swój projekt. Wyczerpująca praca pogorszyła stan jego wzroku. Proponowano mu, żądano, żeby rzucił pracę i znów zaczął się leczyć, ale odmówił: uważa, że sam musi zakończyć

badania.

Teraz zastanówcie się nad sytuacją: człowiek traci wzrok i kosztem własnych oczu chce zapewnić ludziom możliwość widzenia pod wodą! Chce, żeby nasze radzieckie statki pasażerskie czy okręty wojenne otrzymały nowe urządzenia, równie konieczne pod wodą, jak radiolokacja w powietrzu! Radiolokacja umożliwia z odległości setek kilometrów stwierdzenie, że zbliżają się samoloty nieprzyjacielskie. Lotnik może dzięki niej orientować się wśród mgły, określić linię brzegu lub rzeźbę terenu. Ale radiolokacja jest zupełnie bezsilna pod wodą. Woda nie przepuszcza krótkich fal radiowych, pochłania je. Tylko długie fale radiowe przenikają na niewielką głębokość, ale nie nadają się do radiolokacji.

Buranów pracuje nad aparaturą, za pomocą której można będzie widzieć pod wodą daleko, dzięki falom ultradźwiękowym, które, jak wiadomo, dobrze rozchodzą się w wodzie. Pragnie ofiarować swojej ojczyźnie nowy sposób widzenia, zaopatrzy nasze ekspedycje naukowe badające morze, nurków poszukujących zatopionych okrętów w nową potężną broń. Żeby prowadzenie okrętów było bezpieczniejsze. Żeby naszym okrętom nie zagrażały nieprzyjacielskie miny.

Buranow pracuje nad nowym sposobem widzenia, nie licząc się ze swoim własnym wzrokiem. A wy, chociaż zapewnialiście, że szybko ocenicie ludzi, nie umieliście tego zrozumieć i obraziliście się na Buranowa z powodu jakiegoś drobiazgu.

– Praca jest tajna. Nie miałem prawa żądać szczegółowego wyjaśnienia, nad czym pracuje nasze L-3 – usprawiedliwiał się Misza. – A jak wy dowiedzieliście się o tym?

– Tajemnica dotyczy schematu aparatury i zasad jej działania. A sam temat badań nie stanowi sekretu, po prostu za mało interesowaliście się tym. Historię inżyniera Buranowa opowiedziała mi koleżanka z działu, w którym pracuję.

– Żenią napomknął coś, że chodzi o wzrok, ale odmówił szczegółowych informacji.

– Nic dziwnego. Sądząc z waszych opowiadań, Żenią lubi robić tajemnice z byle czego. A wy dbacie nade wszystko o siebie i interesujecie się tylko tym, co was bezpośrednio dotyczy...

– To niesłuszne! Dowiodę wam! – zdenerwował się Misza. – Moja wina oczywiście, że dałem powód do takiej opinii. Ale dowiodę wam, zobaczycie!

– W porządku. Zobaczymy – odpowiedziała Luda wstając.

Misza szedł za nią, mocno przygnębiony i zawstydzony. Zdawał sobie sprawę, że wszystko, co powiedziała Luda, jest zupełnie uzasadnione.

Przy bramie parku spotkali Żenię.

– Towarzyszu Sawin, poproszę was na chwilkę. Chciałem wam coś powiedzieć – zwrócił się do Miszy; miał przy tym minę nie tylko tajemniczą, ale wprost złowieszczą.

Luda pożegnała młodzieńca i szybko znikła za żelazną

furtką.

—Towarzyszu Sawin — zaczął Żenią podchodząc do studenta — Wasilij Iwanowicz umówił się z naszym inżynierem i ten zgodził się zwolnić nas na jutrzejszy dzień. Nie mamy pilnej roboty, a na białym kutrze widocznie potrzeba ludzi. Jutro rano popłyniemy... A przy tej okazji pewno udam się coś zobaczyć.

* *

*

Biały kuter! Minął miesiąc, odkąd Misza pracuje na tej wspaniałej pływającej stacji doświadczalnej, wyposażonej według ostatniego słowa techniki. Kabiny-laboratoria, kabiny-warsztaty — wszystko do dyspozycji badaczy! W obszernym, półokrągłym pomieszczeniu, znajdującym się na dziobie kutra, ulokowano to, co stanowiło przedmiot największej troski i starań ludzi pracujących tutaj — aparat z matowym ekranem, takim jak w dużych telewizorach. Od tego aparatu rozchodzą się ukryte w metalowych rurkach niezliczone przewody do specjalnych radiatorów i hydrofonów, przymocowanych za burtą.

Stopniowo Misza zapoznał się z całą pracą. Wiedział już, na jakiej zasadzie pracuje podwodna aparatura dźwiękowo-lokacyjna i co znaczy ten osobliwy dźwięk, który usłyszał kiedyś podczas kąpieli.

Radiatory fal ultradźwiękowych wysyłają w morze po-

tężny, ale krótki sygnał. Fale dźwiękowe, odbite od dna lub jakichkolwiek pływających przedmiotów, wracając do kutra, napotykają rząd hydrofonów opatrzonych specjalnymi zwierciadłami, ogniskującymi dźwięk w jednym punkcie. Tajemnica wynalazku polega właśnie na urządzeniu ogniskującym i kombinacji hydrofonów.

Wszystko to działa podobnie jak obiektyw fotograficzny, przyjmujący fale świetlne odbite od przedmiotów i rzucający na matowe szkło aparatu fotograficznego obrazy tych przedmiotów.

Ale tu działają nie fale elektromagnetyczne – światło, tylko fale mechaniczne – dźwięk. Światło widzimy, a fale ultradźwiękowe są niewidoczne. Tutaj przybywa z pomocą znakomita dziedzina radiotechniki – telewizja.

Lampa telewizyjna, zwykle stosowana w telewizorze do odtworzenia obrazu, kineskop, za pomocą promienia elektronowego, niby ołówkiem na papierze, rysuje na fluoryzującym ekranie wyraźny obraz. Obraz trwa niedługo, gaśnie niby ścierany niewidzialną gumką, a na jego miejscu promień elektronowy, kierowany prądem elektrycznym od hydroforni, rysuje nowy obraz.

W miarę tego jak kuter płynie, ludzie mogą obserwować ruchomy obraz podwodnego świata, rozróżniać zarysy dalekiego brzegu.

Aparat już działał. Ale chodziło jeszcze o przedłużenie zasięgu jego działania i nad tym zagadnieniem trzymał się kolektyw pracowników naukowych z Buranowem na czele.

Przy strojeniu i regulowaniu aparatury stosowano dodatkowe urządzenie, nadające w wodę dźwięki o najrozmaitszych i wciąż zmieniających się tonach. Podczas pomiarów albo regulowania aparatury przenikliwe, wyjące dźwięki rozlegały się w wodzie. Właśnie to wycie usłyszał Misza podczas kąpieli w dniu swego przyjazdu. Teraz już wiedział, że ten dźwięk jest ubocznym zjawiskiem w pracy hydroteleaparatury. Dobrze zestrojona aparatura działa zupełnie bez hałasu, ponieważ stosuje się w niej dźwięk bardzo wielkiej częstotliwości – ultradźwięk, niesłyszalny dla ucha ludzkiego.

Młody praktykant podobał się kierownikowi i wkrótce powierzono mu dość odpowiedzialną pracę: obliczanie i opracowywanie podczas prób danych matematycznych. Żenia również pozostał przy pracy na białym kutrze, ponieważ spryt i rzetelność tego młodzieńca w wykonywaniu robót mechanicznych też nie uszła uwagi kierownika laboratorium.

Im dłużej obserwował Misza pracę Buranowa, tym głębszy odczuwał dla niego szacunek. Zrozumiał prawdziwe poświęcenie inżyniera, kiedy się sam przekonał, ile trzeba sił i napięcia woli, żeby kierować tak trudnym odcinkiem pracy. Teraz, wspominając o swojej nocnej robocie, nie uważał już jej za bohaterstwo.

Pewnego dnia, który niczym się nie różnił od innych dni pracy, Misza zauważył, że Wasilij Iwanowicz jest czymś radośnie podniecony. Od chwili wyruszenia z przystani i w

czasie drogi kierownik laboratorium weselej niż zwykle rozmawiał z pracownikami, żartował – wydawał się wyraźnie z czegoś zadowolony.

–Wczoraj założyli obok telewizora nowy analizator dźwięków. Buranow niedawno wymyślił ten analizator i ma nadzieję, że to znacznie zwiększy czułość przyrządów – tajemniczo zakomunikował Żenia praktykantowi.

– To by było cudownie! – zauważył Misza.

– Naturalnie – ciągnął mechanik. – Wczoraj wieczorem nurkowie umocowali za burtą jeszcze jeden hydrofon i dodatkowe przewody – sam widziałem. To dla szybkości. W ogóle przewody trzeba było przeciągnąć wewnątrz kutra i wyprowadzić na zewnątrz przez specjalne tulejki w kadłubie statku. Ale widocznie, żeby przyspieszyć robotę i jak najprędzej wypróbować działanie analizatora, Wasilij Iwanowicz kazał tymczasowo przerzucić przewody przez burtę i umocować je pod wodą.

– Wiem, Żenią. Właśnie kazano mi sprawdzić opór elektryczny kabla po założeniu go przez nurków – odpowiedział Misza.

Jak zwykle biały kuter zatrzymał się w znacznej odległości od brzegu, gdyż próby wymagały wielkiej głębokości. Zadanie polegało na tym, żeby zobaczyć na ekranie telewizora dno morskie, leżące głęboko pod powierzchnią wody.

Na komendę Wasilija Iwanowicza pracownicy uruchomili aparaturę dźwiękowo-lokacyjną. Zaszumiały transfor-

matory zmieniające napięcie prądu z niskiego na wysokie. Ktoś za pomocą sznura zaciągnął story na okna i półokrągły pokój pogrążył się w ciemności. Zapłonęły czerwone lampki kontrolne na tablicy rozdzielczej. Ekran telewizora jaśniał bladoniebieskim światłem.

– Nic nie widać – rozległ się jakiś głos w ciemności.

– Sprawdźcie nadawanie sygnałów w głównych hydrofonach – zarządził Wasilij Iwanowicz.

Rozległo się stukanie pokrywek przyrządów pomiarowych i przygłuszone słowa.

– Tu – w porządku... Tu – także... Wszystko w porządku, Wasiliju Iwanowiczu! Sygnały głównej grupy hydrofonów działają! – odezwał się ten sam głos.

– Co to znaczy? – zapytał Wasilij Iwanowicz. – Może nie ma połączenia przewodów z hydrofonami działającymi przy analizatorze? To mało prawdopodobne. Wczoraj po pracy nurków linia była sprawdzana. Ale na wszelki wypadek sprawdźcie jeszcze raz.

Znów usłyszano niewyraźny szept pracownika przy tablicy rozdzielczej z przyrządami pomiarowymi. A wkrótce rozległ się jego zirytowany głos:

– Żebyś się rozsypała w drobne kawałki i rozpuściła w wodzie morskiej bez reszty!

– Komuż to tak życzyście? – zapytał kierownik laboratorium.

– Linii – odpowiedział oburzony głos. – Nie działa!

– To po cóż jej życzyście, żeby się rozsypała bez reszty i w

dodatku rozpuściła w wodzie? — wesoło zapytał Wasilij Iwanowicz. — Zostaniemy całkiem bez linii! Raczej życzenie jej, żeby się poprawiła!

— Kontakt musi być uszkodzony pod wodą w złączu mufowym przy hydrofonie. Na całej długości przewodnik jest nowy, bez spojeń — zauważył ktoś z ciemności.

— Trzeba sprowadzić nurka — powiedział zmartwiony Wasilij Iwanowicz. — Połączcie się z brzegiem przez radio i poproście o przysłanie łodzi z nurkiem... A was, towarzyszu Sawin, poproszę o dopilnowanie ich pracy.

— Słucham, Wasilij Iwanowicz — odpowiedział Misza.

Rozsumięto story i dzienne światło popłynęło z góry. Laborant Pogonczuk, który sprawdzał przewody, niski i barczysty, w marynarskim mundurze, szybko wszedł po schodkach, żeby wykonać rozkaz.

— Szkoda... — szepnął Wasilij Iwanowicz utkwivszy nieruchomy wzrok w jednym punkcie. — Ale to nic — powiedział wstając. — Nie ma sensu wracać na brzeg. Weźmiemy się do innej roboty: trzeba sprawdzić sinusoidalność krzywej generatora.

W tym momencie Misza poczuł, że ktoś lekko szturchnął go w bok. Przy nim stał Żenia, robił jakieś miny i nieznacznie kiwał głową. Misza, który już dobrze poznał swojego przyjaciela, od razu zrozumiał, że to znaczy: „Chodź, mam dla ciebie poufną wiadomość...”

— Oto jak sprawy stoją, Misza — przyciszonym głosem zaczął Żenia, kiedy wyszli na pokład. Mechanik jak zwykle

rzucał podejrzliwe spojrzenia na wszystkie strony. — Wiem z pewnością, że naszego nurka nie ma teraz w Instytucie. Rozumiecie? Słyszałem, jak prosił swojego zwierzchnika o zwolnienie w związku z wykonaną pracą nadliczbową. Jego siostra, która mieszka daleko stąd, wychodzi za mąż. Naturalnie, może się zdarzyć, że jeszcze nie wyjechał, nie wiem na pewno. Ale jeżeli wyjechał? To znaczy, że dzisiejszy dzień trzeba uważać za stracony. A przecież Wasilij Iwanowicz ma nadzieję...

Właśnie w tej samej chwili usłyszeli głos Pogonczuka, który dopiero co telefonicznie porozumiewał się z kabiny radiowej z brzegiem. Tłumaczył komuś w biegu:

— Intendent postara się odszukać kierownika gospodarczego, któremu podlega nurek. Potem kierownik gospodarczy będzie szukał nurka. O wynikach intendent obiecał zawiadomić natychmiast przez radiotelefon.

— Paskudna historia! — szepnął Żenia. — Z pewnością nie znajdą nurka. Ach, gdybym ja umiał, jak należy...

— Nurkować? — przerwał mu Misza.

— Właśnie! — odpowiedział mechanik.

— Trzeba się zgłosić do Wasilija Iwanowicza — zaczął Misza i chciał iść od razu do sali badań, ale Żenia go powstrzymał.

— W żadnym wypadku! Nie pozwoli! — zaprotestował chwytając praktykanta za rękaw. — Znam go. Nie pozwoli wam nurkować, i już. Nikomu nie pozwoli. A co właściwie może się stać? Widziałem, jak nurkujecie. Wspaniale!

Weźcie ze sobą klucz nakrętkowy i raz, dwa zdejmiecie nakrętki... Ja ostrożnie złapię przewód i wyciągnę hydrofon. Zaraz sprawdzimy złącze mufowe, poprawimy, co trzeba, i... z powrotem wszystko do wody. Roboty na dwadzieścia minut i nikt nie zauważy. Będziemy się kąpali, a to wszystko tak przy okazji...

Misza zdecydowanym krokiem skierował się na pomost kapitański. Za nim z miną spiskowca podążał Żenia.

– Towarzyszu kapitanie! – zwrócił się Misza do siwo-włosego marynarza ze szramą na lewym policzku. – Czy można spuścić drabinkę sznurową i wykąpać się? Upał wprost nie do zniesienia!

– A wy, młody człowieku, po coście tu właściwie przyjechali? Do pracy, czy dla rozrywki? – gderliwie zapytał kapitan.

– W tej chwili, z powodów ode mnie niezależnych, mamy krótką przerwę w pracy – służbiście zaraportował Misza udając wytrawnego marynarza; wiedział, że sprawi tym przyjemność „staremu morsowi”, jak żartobliwie nazywano kapitana.

Kąpiel z kutra podczas przerwy w pracy nie była nowością dla kapitana. Wydał zezwolenie, co prawda pod warunkiem, żeby na burcie obok koła ratunkowego stał marynarz i uważnie obserwował pływających. Ten sam marynarz miał prawo przy najmniejszym podejrzeniu, że ktoś słabo pływa, natychmiast wyciągnąć delikwenta z wody.

– Co za sens urządzać kąpiel dla jednego człowieka? –

zamruczał staruszek. — I marynarz będzie dyżurował dla jednego. Trzeba zawołać chętnych. Zaraz zejść na dół i zapytam.

Plan Żeni zawisł na włosku, ale mechanik nie dał się zbić z tropu.

— Już zawiadomieni, towarzyszu kapitanie — powiedział przymilnie. — I ja się będę kąpał, i jeszcze paru przyjdzie.

— No, no — mruknął kapitan i chrząknąwszy zawołał donośnym głosem dyżurnego marynarza.

Chowając pod pachą klucz nakrętkowy, żeby go marynarz nie zauważył, Misza zszedł po drabince sznurowej i buchnął plecami w wodę. Potem, żeby nie wywoływać podejrzeń marynarza, wypłynął i krzyknął do Żeni, że zamierza dać nurka na większą głębokość.

Szybko pracując rękami i nogami Misza zaczął nurkować coraz głębiej, zbliżając się do dna kutra. Woda w tym miejscu odznaczała się niezwykłą przezroczystością. Dobrze było widać burtę statku, pokrytą zielonkawym mchem i szarymi muszelkami. A oto tymczasowy kabel idący wzdłuż burty w dół do hydroforni. Misza ścisnął klucz pomiędzy nogami i chwyciwszy rękami kabel zaczął się szybko opuszczać w dół.

„Zdążę, czy nie zdążę? Czy starczy mi tchu, żeby odkręcić hydrofon przymocowany trzema śrubami?” — świdrowała w głowie natrętna myśl.

Hydrofon nie był umocowany tak głęboko, jak sądził. Misza energicznie zaczął operować kluczem. Śruba łatwo

się poddała — wczoraj była wkręcona i jeszcze nie zdążyła ani zarzewieć, ani obrosnąć wodorostami. Dwie dalsze też lekko dały się poruszyć. Teraz można je łatwo odkręcić rękami, ale... Misza poczuł, że się dusi. Trzeba było szybko wypłynąć na powierzchnię. Znowu ścisnąwszy klucz między nogami, zaczął pracować rękoma, chwytając za kabel, żeby prędzej wypłynąć.

Głowa Miszy ukazała się na powierzchni tuż przy burcie. Trzymając się kabla odetchnął parę razy jak najgłębiej i żeby nie budzić podejrzeń dyżurnego marynarza, krzyknął:

— Żenia, widzisz, gdzie wypłynąłem? Zanotowałeś w pamięci czas mojego pobytu pod wodą?

— Tak — odpowiedział mechanik.

Jednocześnie z góry odezwał się oburzony głos marynarza:

— Co wy wyprawiacie, towarzyszu! Czyż można tak długo siedzieć pod wodą? Co to za żarty? Wyłażcie! Nie pozwalam wam dłużej się kapać!

Sytuacja była trudna. Misza szybko kombinował, jak należy postąpić w tym wypadku. Próbować udobruchać marynarza? Sądząc po głosie był stanowczy i nie pójdzie na ustępstwa.

— Zaraz! Tylko minutkę i wychodzę! — krzyknął Misza i znów schował się pod wodę.

Tym razem nurkowanie było trudniejsze niż poprzednio, pewno wskutek zmęczenia. Ręce wyraźnie drżały i poruszały się nie tak szybko, jakby należało.

Misza podpłynął do hydrofonu. Śruby, które przy pierwszym nurkowaniu obracały się zupełnie łatwo, odkręcał teraz z trudem. Pierwsza już gotowa. Gdzie ją podziać? Przeszkadza w robocie. Misza wsunął ją pod kąpie

łówki i zawinął koło gumki. Druga śruba. Brak oddechu. Przed oczami płyną czerwone koła... Trzecia śruba... Jednym ruchem Misza zdjął hydrofon ze sworznia i chwycił rękami kabel. Teraz w górę, żeby jak najprędzej wypłynąć na powierzchnię...



Kiedy Misza odetchnął pełną piersią i spojrzał w górę, zobaczył nieoczekiwany obraz. Na pokładzie przechyleni przez poręcz stali niemal wszyscy pracownicy pływającej stacji badawczej. Trzymając się jedną ręką drabinki sznurowej, w kąpielówkach, po pas w wodzie, wisiał dyżurny marynarz, grożąc Miszy olbrzymim kułakiem. Widocznie zamierzał właśnie dać nurka, żeby ratować zaginionego praktykanta.

— Co to znaczy, towarzyszu Sawin? — rozległ się z góry surowy głos kierownika laboratorium. — Zakłóćcie porządek, nie podporządkowujecie się zarządzeniom kapita-
na! Proszę do mnie...

Misza podpłynął do drabinki sznurowej i zaczął wchodzić do góry.

— Takich by topić, i to mało... — cicho zasyczał marynarz przepuszczając Miszę.

— Przepraszam, ja nie dla żartu... — również szeptem odpowiedział Misza.

— Wy tłumaczcie się, żebym mógł ściśle sformułować naganę w rozkazie — zwrócił się do Miszy kierownik laboratorium.

— Oho! A co on ma pod pachą? Chyba klucz nakrętkowy? — powiedział ktoś z obecnych.

W tej chwili spod gumki mokrych kąpielówek wypadły dwie śruby i potoczyły się z hałasem po pokładzie gładkim i starannie wyszorowanym.

— Udało się wam odkręcić tylko dwie śruby? — sucho

zapytał Wasilij Iwanowicz.

– Nie. Wszystkie trzy. Trzecią mam – pokazał Misza, ciężko oddychając. – I hydrofon zdjęty ze sworznia. Można go wyjąć z wody ciągnąc za kabel – dodał po chwili.

– Rozumiem – wciąż równie sucho mówił kierownik laboratorium. – Nagana będzie sformułowana w ten sposób: za samowolne postępowanie w czasie pracy, narażanie własnego życia i niepodporządkowanie się rozkazom kapitana praktykantowi trzeciego laboratorium Sawinowi udziela się surowej nagany. O powyższym zawiadomić dyrekcję uczelni, skąd student przybył na praktykę.

– Wasiliju Iwanowiczu – rozległ się podniecony głos Żeni. – Trzeba podzielić naganę na pół, na równe części. To i moja wina. Razem to wymyśliliśmy. Nurek jest pewno u siostry na weselu. Gdyby się go nawet udało sprowadzić, to i tak nie wlezie w skafander. Wiadomo dlaczego: jest pod dobrą datą.

Ktoś się roześmiał, ale zaraz umilkł. Wszyscy stali w milczeniu.

– Wasilij Iwanowicz! – powiedział nagle Pogonczuk. – Niezależnie od przestępstwa tych dwóch młodych ludzi pozwólcie wyciągnąć hydrofon z wody wobec tego, że jest – według słów człowieka, który popełnił przestępstwo – już odkręcony.

– I co dalej? – machinalnie zapytał kierownik.

– Rozbierzemy mufę i naprawimy uszkodzenie.

– I co z tego?

– Prosta rzecz, Wasiliju Iwanowiczu! Ustawimy hydrofon z powrotem pod wodą bez nurków.

– Kto ustawi? – zapytał kierownik w głębokiej zadumie.

– Wiadomo. Oczywiście – ja! Zapomnieliście, że umiem nurkować.

– Trzeba poczekać na nurka – sucho wyskandował kierownik.

– Co wy mówicie! Nurek pewno jest na weselu. Przecież dostał zwolnienie. Nie było na dziś zgłoszeń na robotę dla niego. Uważam, że naganę trzeba podzielić nie na dwie części, tylko na trzy. Tak, żebym i ja dostał za swoje. Jak to się stało, że nie domyśliłem się i nie wskoczyłem do wody? Tylko z powodu mojego gapiostwa zdarzyło się przestępstwo praktykanta.

– Czy można o coś zapytać, towarzyszu kierowniku? – zabrzmiał basowy głos dyżurnego marynarza, który miał przed chwilą ratować Miszę.

– O co chodzi? – wciąż surowo zapytał kierownik.

– Czy nie mógłbym spróbować przykręcić z powrotem pod wodą, co tam trzeba? W tej chwili jestem gotów, ubrania jeszcze nie wkładałem.

– Towarzysz Kocubejko jest doświadczonym marynarzem. Można na niego liczyć – scharakteryzował dyżurnego kapitan.

– Aż śmieszne – upierał się marynarz. – Jeżeli ten lądowy student – wyciągnął rękę i pokazał Miszę – był w stanie odkręcić śrubę, to czyż ja jej nie potrafię zakręcić?

– Na waszą odpowiedzialność, kapitanie – powiedział Buranow i wolno odszedł w kierunku drzwi prowadzących do kabiny.

Za nim w milczeniu poszli pozostali pracownicy.

– Nie martwcie się – szepnął laborant Pogonczuk podchodząc do Miszy. – Uprosimy Wasilija Iwanowicza.

Po godzinie uszkodzenie w złączu mufowym naprawiono, hydrofon ustawiono pod wodą. Co prawda marynarz, który zgłosił się do nurkowania, miał trudniejsze zadanie, niż sądził. Pięć razy musiał wypływać z wody, żeby odechnąć. Wobec tego autorytet Miszy jako doskonałego nurka urósł w oczach Żeni niebywale. Z dumą spoglądał na swojego przyjaciela, mrugając w stronę kapitana.

Ubrawszy się Misza zszedł do półkolistej kabiny, w której znajdował się ekran telewizyjny. Wchodząc zauważył pełne szacunku spojrzenia towarzyszy pracy.

– Przynieście krzesło dla towarzysza Sawina – zarządził kierownik laboratorium zauważywszy, że student nie ma na czym usiąść.

Znowu zahuczały transformatory, zapłonęły lampki sygnałowe i kabina pogrążyła się w półmroku. Na matowym ekranie ukazała się jasna plama. Coraz wyraźniej rysował się obraz. Było to dno morza... Dalekie dno... Rozległ się szepc aprobaty. Potem okrzyki:

– Doskonale, Wasilij Iwanowicz, zwycięstwo! Zwycięstwo, towarzysze!

Misza siedział w kącie i obserwował wyraz twarzy inży-

niera Buranowa. Na pół niewidomy inżynier ze wzruszeniem usiłował przyjrzeć się ekranowi, ale, naturalnie, nie widział go tak wyraźnie, jak pozostali.

„Nawet nie może zobaczyć wyników swojej wieloletniej pracy, z powodu której tracił wzrok! Co za ironia losu!” – ze smutkiem pomyślał Misza.

Zastukał silnik Diesla i kuter popłynął pełną parą. Szybko jak w kinie, kiedy pokazują film popularnonaukowy, przepływał przez ekran cudowny obraz dalekiego dna morskiego. Ludzie widzieli poprzez masy wody, których nigdy nie przenika światło dzienne, każdy kamyczek, każdą szczelinę.

W drodze powrotnej, kiedy biały kuter podchodził już do brzegu, powiedziano Miszy, że woła go do swojego gabinetu kierownik laboratorium.

– Usiądźcie... Misza – powiedział Buranow, gdy student przymknął za sobą drzwi.

„Mówi do mnie po imieniu” – przemknęło przez głowę praktykantowi.

– Radosny dziś dzień – zaczął Buranow. – Radosny dla mnie i dla wszystkich pracowników. Pomogliście, Misza, swoim ofiarnym czynem przybliżyć ten radosny dzień. Powiedzcie, co ja powinienem z wami zrobić? Obok bohaterstwa i samozaparca – wykroczenie przeciwko dyscyplinie. Trudno mi rozwiązać samemu ten problem. Pomóżcie mi!

– Niech będzie tak, jak postanowiliście przedtem: nagana w rozkazie z zawiadomieniem uczelni – cicho odpo-

wiedział Misza starając się opanować wzruszenie.

– Szczerze to mówicie?

– Tak, szczerze. Zlekceważyłem obowiązujący regulamin i powinienem ponieść za to karę.

Nastąpiło milczenie.

– A może... – zaczął niepewnie Buranow – może w rozkazie podać jednocześnie, że w wyniku waszego wykroczenia... no... jak to powiedzieć... robota posunęła się na przód...

– Nie trzeba, Wasilij Iwanowicz – powiedział Misza korzystając z przerwy. – Proponowana przez was nowa forma rozkazu będzie nieścista... Wychodzi tak: z jednej strony zły pracownik – niekarny, a z drugiej – dobry, pomógł swoim wykroczeniem sprawie społecznej. Niech zostanie tak, jak mówiliście poprzednio.

Buranow wstał i podszedłszy blisko do studenta ujął jego rękę.

– Teraz chcę wam powiedzieć parę słów nie jako kierownik laboratorium swojemu podwładnemu, tylko jak człowiek człowiekowi. Dziękuję za to, coście zrobili. Jeszcze jeden dzień zwłoki to dla mnie znaczyłoby bardzo dużo. Tyle było niepowodzeń, rozczarowań, że być może jakaś drobna przykrość, na przykład odłożenie próby o jeden dzień, byłoby dla mnie ciosem. Mam na myśli mój wzrok... Dziękuję!

*

– Opowiadajcie szczegółowo – tonem nie dopuszczającym sprzeciwu powiedziała Luda ciągnąc za rękę Miszę w głąb parku.

– Wszystko w porządku, wyobraźcie sobie! – wesoło odpowiedział Misza. – Od dzisiaj można uważać, że konstrukcja aparatury jest wypróbowana. Wstrząsające wyniki!

– Więc jak to było?

– Bardzo zwyczajnie. Wypłynęliśmy na morze. Buranow kazał wszystko przygotować do próby. No i wynikło małe zahamowanie: kabel, łączący hydrofon z nowym analizatorem, nie działał. Usunięto przeszkodę. A potem, po włączeniu aparatu, zobaczyliśmy na ekranie wyraźny rysunek morskiego dna. To wszystko.

– No, a kto ma otrzymać naganę w rozkazie? – zapytała Luda z oburzeniem.

– To nie ma nic wspólnego z wynikami dzisiejszych prób! Jeżeli dobrze rozumiem, interesują was głównie próby? – spokojnie odparł Misza.

– Powiedźcie, Misza... Czy bardzo macie za złe kierownikowi... jednym słowem, mam na myśli naganę... – już cicho ciągnęła Luda zatrzymując się przy ławce.

– Ani trochę! Przecież ja naprawdę przekroczyłem obowiązujące przepisy, wlałem do wody, żeby pomagać remontować kabel bez pozwolenia kierownika.

– Pomagać?

– Tak.

– Rozumiem – powiedziała Luda siadając. – Zupełnie jasne. – Gestem przywołała Miszę, żeby zajął miejsce obok niej. – Teraz opowiedzcie szczegółowo, jak to było.

– Jasność obrazu – zdumiewająca! Widać najmniejszy kamyczek. A przecież kuter zatrzymał się na wielkiej głębini. Patrzę na Buranowa i myślę: „Przecież on nie widzi tak dobrze, jak my wszyscy, zwycięskiego wyniku swojej wieloletniej pracy.— zaczął Misza zapalając się coraz bardziej.

Ale dziewczyna przerwała mu.

– Misza – powiedziała. – Oczekiwałam, muszę się przyznać, że przede wszystkim zaczniecie wychwalać swoje bohaterstwo i samozaparcie. Myślałam, że będziecie narzekać na niesprawiedliwość kierownika. Przecież wiem wszystko. Słyszałam o wszystkim, co się działo na białym kutrze. Wszystko, do najdrobniejszych szczegółów.

Misza uśmiechnął się i umilkł.

– Dawniej sądziłam, że myślicie przede wszystkim o sobie, o swoim bohaterstwie i o swoich krzywdach – cicho mówiła dziewczyna. – A teraz... może... jesteście rzeczywiście dobrym człowiekiem, prawdziwym człowiekiem...

– Być może – mruknął Misza rysując na piasku obcasem buta jakąś skomplikowaną krzywą.

– A z czego jesteście niezadowoleni? Może martwi was ta nagana?

– Jakoś nieprzyjemnie, oczywiście...

– W takim razie mogę wam zakomunikować pod wiel-

kim sekretem: dyrektor Instytutu postanowił poprzestać na ustnej naganie, biorąc pod uwagę zapewne wasz młody wiek. Jutro was zawoła i da wam. szkołę. Przygotujcie się na to.

– W porządku – odpowiedział obojętnie Misza.

– Co „w porządku”? – wybuchnęła nagle Luda. – Jak śmiecie mówić takim tonem „w porządku”? Więc nie cieszy się, że wszystko ułożyło się tak gładko?

Nie wiadomo, czym skończyłaby się sprzeczka, gdyby nie podszedł Żenią z wiadomością: Wasilij Iwanowicz prosi wszystkich pracowników trzeciego laboratorium wieczorem do swojego mieszkania. Jutro wyjeżdża do sanatorium.

* *
*

Dziwnie działa na człowieka widok szerokiej, stale połyskującej srebrną falą drogi, która w noc księżycową na pół rozcina morze i ciągnie się od brzegu aż po horyzont. Przykuwa ona wzrok i nastroja do marzeń.

W miesiąc po opisanych tu wydarzeniach Misza i Luda siedzieli na płaskim kamieniu, do którego chwilami dobiegały posrebrzone przez księżyc fale przypływu. Przyszli pożegnać się z morzem. Praktyka skończona. Jutro wyjazd.

Żenia stał obok i smutno spoglądał na fale, rzucając w wodę od czasu do czasu drobne kamyczki, jakby chciał podkreślić swój stosunek do morza i księżycowej ścieżki. W gruncie rzeczy usiłował po prostu ukryć żal, że Misza wy-

jeżdża.

– Luda! Przysięgnijmy, że po skończeniu uczelni będziemy kontynuowali dzieło Buranowa! Dobrze? – powiedział Misza.

– Me, nie zgadzam się – odpowiedziała Luda. – Wasilij Iwanowicz wraca do zdrowia, odzyska wzrok. Będzie jeszcze długo żył i pracował. Przysięgnijmy lepiej, że będziemy pracować nad jakimś nowym wynalazkiem, który sami wymyślimy. Wielkim wynalazkiem! Wynalazkiem, który pomoże jak najprędzej zakończyć budowanie komunizmu! I przysięgnijmy, że będziemy nad tym wynalazkiem pracować tak ofiarnie jak Buranow.

– Zgoda – odpowiedział Misza.

– W takim razie i ja przysięgnę – zaczął Żenia. – I przysięgam, że jakikolwiek to będzie wynalazek, wielki czy mały, w każdym razie będę pracował szybko i dokładnie tymi oto rękami...

Żenia rozwarł pięść i mały kamyczek, podskakując, stoczył się po brzegu prosto w morze.



SPIS TREŚCI

HISTORIA PEWNEGO WYBUCHU
ELEKTRYCZNE POCISK
DRUGI WZROK